



**Skargi na sędziów
rozpatrują sędziowskie
organy dyscyplinarne.
To się zmieni.
Wśród ustawowych pereł
PiS znajduje się piła
do wycinania sędziów,
tak samo jak drzew.**



Krycie Misiewiczza

str. 5

Polski łobuz koncentracyjny

str. 10

DZIENNIK O

**Afera większa niż wszystkie afery
wytropione przez PiS.**

Żółty członek polskiego rządu

MATEUSZ CIEŚLAK

Tym razem Jarosław Kaczyński ma wielki problem. Problem z Jarosławem Gowinem, który, stosując metodę faktów dokonanych, usiłuje przełamać inwestycje o wartości kilkudziesięciu miliardów złotych. Realizować je ma firma, która za praktyki korupcyjne trafiła na czarną listę Banku Światowego.

Nauka i budownictwo

Należy przypomnieć, kim jest Gowin w rządzie PiS. Jest wicepremierem oraz ministrem nauki i szkolnictwa wyższego. Na stronie Kancelarii Premiera określono jego kompetencje jako wicepremiera następująco: „Odpowiada za politykę naukową państwa, w tym dysponuje budżetem na strategiczne badania i inwestycje. Wspiera rozwój polskich uczelni, instytutów badawczych i instytutów Polskiej Akademii Nauk. Promuje wysoką jakość badań naukowych i stawia na ich innowacyjność”.

Nic tu nie ma o przedsięwzięciach infrastrukturalnych wartych wielokrotnie więcej, niż wynosi budżet Ministerstwa Nauki. Za te odpowiada minister Andrzej Adamczyk, szef resortu infrastruktury i budownictwa. On zaś podlega nie wicepremierowi Gowinowi, lecz wicepremierowi Mateuszowi Morawieckiemu, stojącemu na czele dwóch ministerstw – rozwoju i finansów.

Miedzy nami krakusami

Nasza wiewióra zwraca uwagę na pewną znamieną okoliczność. Wicepremier Gowin jest krakusem. Krakusem jest również kolejna oso-

bowość w rządzie PiS, czyli minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro. Obaj mieli wpływ na to, kto obejmie stanowisko wojewody małopolskiego i kim będą jego zastępcy oraz dyrektorzy wydziałów. Wojewodą jest Józef Pilch, wieloletni radny krakowski oraz były przewodniczący Rady Miasta Krakowa, a wicewojewodami Józef Gawron, były nauczyciel informatyki w Proszowicach, oraz Piotr Ćwik, katecheta i dyrektor Zespołu Katolickich Szkół im. Jana Pawła II w Skawinie.

Chińczycy wpuszczeni na kanał

To wszystko każe się zastanowić, czy obecny minister sprawiedliwości ma świadomość, co Małopolski Urząd Wojewódzki nawywił? Czy może nie tylko przymknął oczy na podejmowane działania, lecz nawet je akceptował? Albowiem w czerwcu 2016 r. wojewoda małopolski podpisał umowę na budowę kanału mającego połączyć Wisłę i Odrę. Inwestycja ma wartość 10 mld zł. Realizować ją będzie chińska firma China Harbour Engineering Group Company LTD (CHEC).

Sytuacja jest co najmniej podejrzana, a mimo to wojewoda pozostaje na swoim stanowisku. Chociaż do jego kompetencji nie należy wykonywanie wielkich przedsięwzięć budowlanych, a w swoim budżecie nie ma na to pieniędzy, tym bardziej takich, jakie w tym wypadku trzeba byłoby wyłożyć. Wojewoda jest bowiem przedstawicielem rządu w terenie. Kontroluje legalność działania samorządów i ma przeciwdziałać skutkom klęsk żywiołowych. Budowa dróg, w tym

także dróg wodnych, należy do marszałka województwa.

Kraków nad Odrą

Rzecz robi się tym ciekawsza, że wojewoda małopolski podpisał miliardowy kontrakt na budowę drogi wodnej u swojego sąsiada. Umowa zawarta przez Małopolski Urząd Wojewódzki z Chińczykami dotyczy bowiem budowy Kanału Śląskiego. Łączyć on ma Wisłę na wysokości Oświęcimia z Odrą w okolicach Raciborza. Jak sama nazwa wskazuje, Kanał Śląski znajdowałby się w województwie śląskim, a nie w małopolskim. Zaraz za rogatkami Oświęcimia przebiega granica obu województw. Należy więc zakładać, że ktoś musiał bardzo naciskać na wojewodę małopolskiego, aby tak się wygłupił. Bądź co bądź chodzi o wygłup za 10 mld zł. No ale wojewoda

śląskim jest Jarosław Wierczok, były radny PiS z Gliwic, który Gowinowi bezkarnie mógłby pokazać wała.

Koperta na parapecie

Chińczycy to wielki naród, Chiny zaś to wielki kraj. Wszystko jest tam wielkie: i miasta, i rzeki, i góry, i korupcja. Wspomniana firma CHEC, z którą wojewoda małopolski chce u sąsiada budować kanał, nie mając na to miliardów (okoliczność korzystna – będzie można umówić się z Chińczykami na kredytowanie inwestycji, co pochłonie kolejne wielkie kwoty), jest częścią wielkiej grupy kapitałowej. Grupa ta zwie się China Communications Construction Company (CCCC).

Dokończenie na str. 3



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

510 zł – tyle pan Waldemar z Wrocławia zapłacił za możliwość posiadania na własność broszki wykonanej z resztek limuzyny premier Szydło i kawałka oświęcimskiej lipy, w którą uderzyła.

Więcej o sobie ze względów zawodowych powiedzieć nie chciał: „Środowisko jest niestety bez jaj i aktywne w niewłaściwą stronę, a Wasze pismo, które czytam od samego początku, jest mocno krytykowane, choć nie czytane. Jest to ten sam typ hi-

Broszka za 500 plus

pokryzji, co krytyka pornografii przez tych, którzy tej pornografii ponoć na oczy nie widzieli” – tłumaczył.

Powody wzięcia udziału w licytacji wyjaśnił następująco: „Tak po ludzku, po prostu dla żartu. Podobał mi się Wasz pomysł i zagrałem. Mój ojciec zawsze mawiał,

że jest niewiele sytuacji, z których śmiać się nie można. I tak żyję sobie i śmieję się z tej naszej chorej rzeczywistości”.

Zwycięzcy serdecznie gratulujemy, broszka już do Pana pędzi niczym Beata Szydło do domu na weekend. Dochód z aukcji – mimo wielkiej pokusy przepicia całej

kwoty – przekazaliśmy na konto kampanii Towarzystwa na rzecz Ochrony Przyrody Chronmydrze-wa.pl.

Dla tych dwudziestu osób, które przeliczywał pan Waldemar, mamy pocieszającą wiadomość: niedługo zapewne kolejny polityk rządu PiS wyróżnie gdzieś wozem w płot, przystanek albo grupę przedszkolaków. Z ich resztek zrobimy jeszcze piękniejszą broszkę!

REDAKCJA



Fot. MICHAŁ MARŚAŁ



» Brytyjski „Financial Times” powiadomił o tym, że pisowcy chcą wysunąć eurodeputowanego Jacka Saryusza-Wolskiego jako kandydata na stanowisko przewodniczącego Rady Europejskiej. Polski rząd – jedyny spośród 28 członków Unii Europejskiej – nie chce poprzeć Donalda Tuska w jego staraniu się o reelekcję, ponieważ poseł Kaczyński wystawił mu ocenę niedostateczną. „Jest politykiem, który łamie elementarne zasady UE. Łamie zasadę neutralności, otwarcie popiera opozycję, która sama siebie nazywa totalną i chciałaby obalić rząd metodami antypaństwowymi” – powiedział poseł, a jego słowo jest dla pisowców rozkazem.

» Brytyjski news spowodował spekulacje polskich mediów. Podobno w zamian za uwikłanie się w działania przeciwko Tuskowi przedstawiciele posła Kaczyńskiego obiecali Saryuszowi-Wolskiemu tekę ministra spraw zagranicznych. Waszczykowski takich spekulacji nie komentuje.

» Wiceliderka PO Hanna Gronkiewicz-Waltz powiedziała, że udział Saryusza-Wolskiego z machinacjami PiS jest wystarczającym powodem do wyrzucenia go z Platformy. Saryusz-Wolski nie komentuje sugestii HGW. W ogóle nie odbiera telefonów, a na Twitterze zamieszcza nic nieznaczące posty.

» Poseł Kaczyński powiedział, że wobec masowej wycinki drzew spowodowanej tzw. prawem Szyski ustawę należy poprawić. Ten sam poseł usłyszał z telewizji, że podczas polowania pod Głogowem myśliwi wzięli człowieka za dziką i go zastrzelili, powiedział zatem, że należy również poprawić prawo myśliwskie. Słowo Kaczyńskiego jest rozkazem, dlatego pisowcy zakazali wycięcia drzew i zabijania ludzi zamiast dzikich świń.

» 26 marca w Warszawie miało się odbyć referendum w sprawie pisowskiego projektu metropolitalnego (przyłączenie do stolicy okolicznych miast i wsi). Ale się nie odbędzie, ponieważ pisowski wojewoda Sipiara wszczął postępowanie nadzorcze mające sprawdzić, czy uchwała rady Warszawy o referendum nie łamie ustawy o samorządzie gminnym. Sipiara musiał w tej sprawie usłyszeć słówko od posła Kaczyńskiego...

» W połowie marca ma się rozpocząć rotacyjny strajk nauczycieli: przez 2–3 tygodnie będą strajkować nauczyciele z kolejnych województw. Na razie Związek Nauczycielstwa Polskiego zebrał 120 tys. podpisów pod wnioskiem o referendum w sprawie pisowskiej reformy systemu edukacji. Nawet gdyby zebrano milion podpisów, referendum się nie odbędzie, bo poseł Kaczyński będzie w tej sprawie milczał jak grób.

» Cytowana już Gronkiewicz-Waltz publicznie powtórzyła „chodzącą po mieście informację” o tym, że pisowcy chcą zmienić ordynację wyborczą do samorządów – tak, żeby w wyborach prezydentów, burmistrzów i wójtów nie było drugiej tury. W ten sposób dzięki żelaznemu elektoratowi pisowcy mieliby większe szanse na zwycięstwo. Chyba że opozycja się zjednoczy i wystawi wspólnych kandydatów. Ale się nie zjednoczy, co można obserwować we Wrocławiu, gdzie każda partia opozycyjna zapowiedziała, że będzie miała własnego kandydata na prezydenta miasta. Opozycji najwyraźniej brakuje takiego człowieka jak poseł Kaczyński, który wystarczy, że powie tylko słowo...

» Przeciwko reformie służby zdrowia proponowanej przez ministra Radziwiłła (tzw. sieć szpitali) protestuje już nie tylko wicepremier Gowin, po cichu wspierany przez wicepremierów Morawieckiego i Glińskiego, ale również należący do Solidarnej Polski poseł PiS, w rządzie Kaczyńskiego (który był premierem, a nie posłem) prezes Narodowego Funduszu Zdrowia. Coś nam się zdaje, że wkrótce poseł Kaczyński wypowie w tej sprawie słowo i całą reformę Radziwiłła szlag trafi.

» „Gazeta Wyborcza” dotarła do dokumentów, z których wynika, że od kiedy Szydło została premierką, odbyła 64 loty rządowym embraerem oraz wojskowymi transportowcem casą i śmigłowcem sokół, podróżując do domu rodzinnego w Przecieszynie koło Brzeszcza, gdzie zwykle spędza weekendy. Nie wspominalibyśmy o tym, gdyby nie to, że Kancelaria Premiera nie odpowiedziała na pytanie dziennikarzy „GW”, ile kosztują loty Szydło wte i wewte (więcej na str. 4).

» Prowadząca śledztwo w sprawie wypadku drogowego premier Szydło w Oświęcimiu krakowska prokuratura poinformowała, że specjalistom udało się wydobyć dane z czarnej skrzynki rządowego audi A-8, którym szofer Szydło wpadł na lipę. Nie oznacza to, że będzie wreszcie wiadomo, czy samochód używał tylko sygnałów świetlnych, jak twierdzą świadkowie, czy także dźwiękowych, jak twierdzą Błaszczak i borowcy. Poseł Kaczyński nie ma w tej sprawie zdania, a przynajmniej takiego nie wyraził.



Kastet Boga



Namiestnik króla Polski Jezusa Chrystusa I objawił: „Nie może być tak, że Sąd Najwyższy jest instancją wyjętą spod kontroli”. Jarosław Kaczyński nauczał także: „Nie może być tak, że sądy robią, co chcą”. I nie był gołosłowny. Począł sądzić żywych i umarłych. Tych drugich masowo.

Apostołowie dobrej zmiany zaczęli Namiestnikowi ssać z ust. Wiceminister prawa i sprawiedliwości Michał Wójcik rzekł, że do resortu Ziobry wpłynęło 40 tys. skarg na decyzje sędziów. Już sama ta liczba – wywiódł – „wystarczy, żeby zrozumieć, że reforma sądów to konieczność. Rząd może liczyć w tym wypadku na wsparcie poniżonych przez sądy”. To, co mówi PiS, należy czytać podszewką do góry. Na razie w prawomocne orzeczenia sądów Ziobro może ingerować tylko w jeden sposób: zwracać się o kasację do zarządu sędziowskiej kliki – Sądu Najwyższego. Sądy wydają około półtora miliona wyroków rocznie. Z tego poniżają więcej niż połowę stojących przed nimi obywateli. 40 tys. próśb o kasację oznacza, że minimalny odsetek zgnojonych ministerstwo uważa za zgnojonych niesłusznie. Podana przez Wójcika liczba mówi więc o czymś odwrotnym, niż minister wciska publiczności. Tu wspomnę, że skargi na sędziów rozpatrują sędziowskie organy dyscyplinarne. To się zmienia. Wśród ustawowych pereł PiS znajduje się piła do wycinania sędziów, tak samo jak drzew. Izba dyscyplinarna SN niezależna od SN. To tak, jakbyś co prawda miał wszystkie kończyny, ale jedną trzymał w lodówce.

Poniżonymi przez sądy są aresztanci, więźniowie, osoby zamykane w domach wariatów i w poprawczakach. Dalej: skazani na grzywnę, noszenie obroży na nodze oraz poddani dozorowi policyjnemu. W setki tysięcy rocznie idą zeszmaceni uczestnicy procesów cywilnych zwani stronami jak kartki w książce lub czasopismach. Żeby ktoś wygrał, inny musi przegrać i zbieudnieć.

Propagandowy chór PiS przekrzykuje solistów. Marcin Makowski w zeszyt tygodniowym „Do rzeczy” od rzeczy podaje, że do sądów wpływa 15 milionów spraw rocznie. Oznaczałoby to, że co druga dorosła Polka lub Polak co roku staje przed sądem. Takie wyolbrzymienia cechuje cały atak na sędziów – trzy przypadki kradzieży, w tym jeden czynnego sędziego. I okładka poprzedniej „Gazety Polskiej”, a tam wielkimi literami: „Wymiar bezprawia. Kto ukrywa się pod tego? Kradzieże, przekręty na dziesiątki milionów, matactwo, korupcja, fałszerstwo dokumentów – pewnie wielu czytelników

»Gazety Polskiej« mogłoby sądzić, że to spis »dokonań« bandy, którą niedawno rozbiła policja. Bynajmniej – chodzi o listę zarzutów (w bardzo skróconej wersji), jakie w ostatnich miesiącach usłyszeli najważniejsi ze strażników prawa, czyli sędziowie”.

Tygodnik „NIE” często krytykuje skandalicznie prowadzone procesy, absurdalne wyroki. Red. Joanna Skibniewska ma w domu całą ścianę obwieszoną zdjętymi przez nią samą sędziowskimi skalpami. To, że ja zgwałciłem dziewicę, nie znaczy jednak, że redaktorzy w ogóle, w tym pobożny Sakiewicz, gwałtem i penilem przebijają błony wcipline.

W zeszłym tygodniu Ziobro dał wywiad „wSieci” i powiedział, że chce przywrócić sądy Polakom – „tak, żeby poprzez swoich przedstawicieli w Sejmie mieli wpływ na środowisko sędziowskie”. Umyka jego uwadze, że prawie połowa Sejmu to posłowie opozycji. Oni też reprezentują Polaków, a bronią niezależności sądów. Przy tym o ustawach i uchwałach demokratycznie wybranej większości parlamentarnej nie decyduje żaden abstrakt, jakim są Polacy, ani nawet nie sama ta większość, tylko boski Jarosław Kaczyński, który rządzi Ziobrą, a chciałby wszystkim i wszystkimi niczym mocno hipotetyczny Bóg. Jest on abstraktem, czego o Kaczyńskim nie można powiedzieć. To niestety konkret.

W łeniu sędziów PiS powołuje się na niskie notowania sądów w opinii publicznej. Nie dziwota to, skoro w dupę dostaje ponad połowa tych, co przed nimi stają, a mają oni rodziny i przyjaciół. Nie wspomina jednak wódz ani jego Ziobro, Wójcik, Kurski, Sakiewicz o tym, że o Sejmie mającym wpływać na trzecią władzę społeczeństwo ma jeszcze gorsze mniemanie niż o sądach.

Ziobro nazywa sędziów mafią, a u Sakiewicza Liziniewicz pisze, że bat, czyli kontrolę partii rządzącej „ukręcili na siebie sami sędziowie, krzywdząc ludzi i śmiejąc się im w twarz”. Często staję przed sądami, ale jeszcze nie widziałem sędziego, który się śmieje. Uważają oni, że muszą być marsowi, inaczej spadnie im korona z głowy.

Złodziej władzy Kaczyński zaostrza kary złodziejom rowerów. Jego ludzie chcą jak najczęściej stosować areszty. Za wyludzenie VAT pragną dawać nawet 25 lat więzienia. Nie widzą sprzeczności w tym, że zamierzają poderżnąć gardła przestępcom i zarazem tym, którzy ich skazują. Podobnie minister Radziwiłł od zdro-

wia, czyli chorób. Pragnie zakazania jakichkolwiek skrobanek, a też środków, które im zapobiegają, bo chronią przed ciążą.

Reżim i broniąca sądów opozycja zapomniały zupełnie, że

w znacznej liczbie spraw wydają wyroki nie tylko sędziowie zawodowi, ale także ławnicy mający większość głosów. Nie pamięta się o nich, gdyż tradycyjnie są marionetkami. Ławników wyłaniają samorządy terytorialne. Na nie też planowany jest skok. Jeżeli się uda, partia bezpośrednio mianować będzie sędziów niezawodowych. A dosadzenie ich do wszystkich procesów to wręcz drobna zmiana przepisów. I PiS będzie mogło w każdej sprawie wprost przesądzać wyroki, także na życzenie swoich szczebli lokalnych. Wtedy palce Kaczyńskiego zacisną się w pięść, a w nich błyśnie kastet.

Podrzucam panu pomysł z ławnikami, panie Ziobro, i bierz go pan jako swój. W zamian proszę o kilka uniewinnień.

sekr@redakcja.nie.com.pl



PRASA ŚNIADANIOWA

■ **Ryszard Czarnecki** oznajmił, że Polska jest największym krajem Unii Europejskiej. Nie trzeba być Eichelbergerem, żeby zdiagnozować tu kompleks Edypa.

■ 5 marca będzie miał premierę odcinek „Teleranka” z udziałem ministra **Antoniego Macierewicza**. W ośrodku w Gostyninie ten odcinek będzie się cieszył podwójnym zainteresowaniem.

■ Sadowniczy Zakład Doświadczalny w Brzeznej pracuje nad wyhodowaniem nowej odmiany malin. Dla uczczenia **prezydenta Dudy** nowa odmiana będzie się nazywała „Maliniak”.

■ **Minister Radziwiłł** zapewnił, iż nie twierdził, że w październiku obudzimy się w raju. Oczywiście większość obudzi się w piekle.

■ **Aktorka Małgorzata Kożuchowska** odmówiła pokazania pleców na sesji w „Playboyu”. To może chociaż ślady na całunie pokaże?

■ Siedmiu kandydatów wystartowało w konkursie na **prezesa Totalizatora Sportowego**. Wygra kandydat, który miał szczęśliwy numer z prezesem Kaczyńskim.

■ Redaktor **Piotr Kraśko** zaprosił myśliwych do udowodnienia ich męskości w maratonach. Maraton to mniej więcej taki sam dowód męskości jak myślistwo.

MARTA M.

Wiadro narodu wybranego

Ciąża bez aborcji kończy się zgonem.

domności w Polsce” – alarmowała Ogólnopolska Federacja na rzecz Rozwiązywania Problemów Bezdomności, oczywiście bez skutku, gdyż nie ma specjalnych wątpliwości co do tego, że taki właśnie był cel ćwiczenia. Zaniżenie liczby Polaków bez dachu nad głową nie tylko minimalizuje stojące przed rządem zadanie, ale także pozwala powiedzieć, że wybitna polityka społeczna gabinetu Beaty Szydło w szybkim tempie zmierza do rozwiązania problemu bezdomności w Polsce.

Hańba kompromisu aborcyjnego

Tragiczna historia ze Zgierza to także podręcznikowy przykład humanitarnego skandalu, jakim jest obowiązujący w Polsce „kompromis aborcyjny”. Odłóżmy na bok kwestie światopoglądowe, problem praw kobiet czy rozdziału Kościoła i państwa – bezpieczna, legalna, finansowana ze środków publicznych aborcja jest jedynym sposobem na uniknięcie tego typu tragedii. To jedna z prawd oczywistych, ale niecenzuralnych i kompletnie nieobecnych w polskim dyskursie:

dzieci w wiadrach, dzieci w reklamówkach na śmietnikach, dzieci w zamrażalnikach i w beczkach po kapuście, porzucone, uduszone, zakopane przez zdesperowaną matkę tuż po urodzeniu – obciążają sumienie tych, którzy opowiadają się za zakazem aborcji z przyczyn społecznych. Prawdziwymi zbrodniarzami są nie kobiety – bezdomne, żyjące w nędzy, terroryzowane i gwałcone przez mężów i partnerów – tylko ci wszyscy pierdoleni hipokryci, którzy nazywają się „obrońcami życia”.

I trzeba im o tym przypominać po znalezieniu każdego małego trupka.

Hańba przymusowych badań

Kolejnym oburzającym elementem tej historii jest niedbale powtarzane przez media zdanie: „Badanie lekarskie potwierdziło, że kobieta w ostatnim czasie rodziła”. Nikt nie zadaje sobie pytania, czy Lidia M. wyraziła zgodę na to badanie – tymczasem prawnie jest to co najmniej dwuznaczne. Z jednej strony zmuszenie kobiety do poddania się badaniu ginekologicznemu to szczególnie brutalna ingerencja w jej sferę prywatności, chronioną przez art. 47 Konstytucji RP i art. 8 europejskiej Konwencji o Ochronie Praw Człowieka i Podstawowych Wolności. W 2003 r. wypowiedział się na ten temat trybunał w Stras-



w poczuciu obywatelskiego obowiązku zaglądają bliźnim w okna i pod spódnicę, a potem lecą z mordą na mentownię, że był brzuch, ale go nie ma, za to widzieli szpadeł. Jest w tym spontanicznym i bezinteresownym donosicielstwie echo najobrzydliwszej polskiej tradycji, tych starannie kaligrafowanych listów z nagłówkiem „Szanowne Gestapo” i danymi sąsiadów przechowywających Żydów czy przynajmniej słuchających radia. Różnica jest tylko taka, że donoszenie do gestapo czy UB było – choćby deklaratywnie – potępiane. Dziś anonimowi gorliwcy spod znaku Pawki Morozowa wyrastają na wzór cnót obywatelskich, toteż takich sygnałów od „zaniepokojonych obywateli” jest coraz więcej. „Otrzymałszy anonim, że w Warszówku, gmina Pawłów, mieszka dziewczyna, która jest w ciąży. Minął termin jej porodu, a dziecka i brzucha nie ma”; „O tym, że mieszkanka dolnośląskich Radwanic była w ciąży, ale nikt nie widział dziecka, jako pierwsi dowiedzieli się pracownicy GOPS”; „Na policję docierały sygnały mieszkańców Ińska o tym, że jedna z kobiet była w ciąży, a teraz nie ma śladu zarówno po ciąży, jak i po noworodku”; „Poznański komisariat został powiadomiony, że jedna z mieszkanki gminy mogła zabić płód. Zawiadomiła o tym położną, która dowiedziała się o tym od innej osoby”. W tym ostatnim wypadku – jak zapewne w setkach innych – „inna osoba” martwiła się nieco na wyrost, bo potencjalna morderczyni była dopiero w czwartym miesiącu, ale wtargnięcie do jej mieszkania policjantów wraz z nieznaną położną, która nie bacząc na brzuch, zaczęła ją przesłuchiwać na okoliczność zamordowania dziecka, mogło zakończyć się poronieniem. „Ze zdenerwowania posusiała się, ale nie pozwolono jej nawet pójść do toalety. Policjanci wyprowadzili ją – roztrzęsioną, w mokrych spodniach – do karetki. Wszystkiemu przyglądał się tłum gapiów. – Niedawno za plecami usłyszałam: To ta, co dziecko zamordowała – mówi roztrzęsiona kobieta” – donosiła lokalna gazeta, która nie dostrzegła niczego złego w samym donosie, krytykowała jedynie jego nietrafność.

Hańba bezmyślności

Nie mam specjalnych złudzeń co do tabloidów. Ale spodziewałabym się choćby echa tych wszystkich niepokojów – zamiast bezmyślnego szczucia – w doniesieniach odpowiedzialnych społecznie, postępowych mediów informacyjnych. Zwłaszcza tych, które z takim entuzjazmem pozyskiwały widzów, promując „Czarny protest”. A co słyszymy w TVN 24?

„Informacje dotyczące matki noworodka zakopanego pod krzakiem są szokujące: była jeszcze w pociągu, kiedy poszła na dyskotekę”; „Urodziła tydzień temu, a kilka dni później widziana była już na dyskotekę, więc nie może tu być mowy o żadnej traumie”; „Po pozbyciu się dziecka prowadziła rozrywkowe życie u boku starszego mężczyzny”; „O tym, jaki tryb życia prowadziła, mówią niektórzy sąsiedzi – Ostatnio to nie powiem, bo tam cicho było, ale lubieli sobie wypić, to takie towarzystwo, wie pani...”.

Jasne, wiem. Biedak, bezdomna i bękart.

AWL

W makabrycznej historii ze Zgierza szczególnie paskudną rolę odgrywały media. To, co może zaskakiwać, to fakt, iż organy katoprawicowe do tematu trupka w wiadrze odnoszą się z nadzwyczajnym wręcz taktem, ograniczając się do suchego podawania potwierdzonych informacji. Nawet red. Terlikowski nie zażądał wyhuśtania wyrodnej matki w trybie doraźnym. Za to TVN 24 idzie łeb w łeb z „Faktem” i „Superexpressem”, nurzając się w świętym oburzeniu niczym świnia w gnojówce.

Tymczasem historia jest przede wszystkim straszliwie smutna. Bezdomną w ciąży przygarnął samotny starszy człowiek mieszkający w rozpadającej się ruderze na działkach pod miastem. Kobieta chodziła z brzuchem, a potem bez, usłuźni sąsiedzi skwapliwie więc donieśli na policję, że dziecka nie widać. Policja przyjechała, zawiozła kobietę na badanie ginekologiczne, które potwierdziło poród, po czym psy znalazły zwłoki noworodka zakopane w wiadrze w pobliskich krzakach. Sekcja wykazała, że urodził się żywy. Bezdomna, jej dobroczyni i przyjaciółka mają postawiony zarzut zabójstwa. Grozi im dożywocie.

Żeby nie było: to, że historia jest smutna, nie znaczy, że brak w niej powodów do oburzenia.

Hańba bezdomności

Pierwszy i najważniejszy to hańba, jaką dla europejskiego państwa w XXI w. jest zjawisko bezdomności. Samotna, pozbawiona rodziny kobieta w zaawansowanej ciąży, zimą bez dachu nad głową – stanowi szczególnie dobitny przykład tego, jak oczyźna nasza daje dupy, łamiąc przy tym art. 75.1. Konstytucji, który stanowi, iż „władze publiczne prowadzą politykę sprzyjającą zaspokojeniu potrzeb mieszkaniowych obywateli, w szczególności przeciwdziałają bezdomności”. Wbrew dobremu samopoczuciu tych z dachem – bezdomność nie dotyczy tylko „patologii społecznej”, nie jest karą bożą za pijaństwo. Jej zasadnicze powody leżą po stronie państwa i prawa – w czym, wstyd powiedzieć, kluczowy udział miała lewica z „ustawą Blidy” dopuszczającą eksmisję na bruk. Przeprowadzone w 2013 r. badanie socjodemograficzne bezdomnych wykazało, że 53 procent z nich znalazło się na ulicy z powodu wymeldowania i eksmisji.

Nawiasem mówiąc – i to kolejny powód do oburzenia – było to jedyne takie badanie w historii „wolnej Polski”, która do problemu bezdomności podchodzi z zatrzęsającą dezynwolturą. Od roku 2013 ministerstwo pracy co 2 lata organizuje swoisty spis bezdomnych – jednak stosowane przez nie metody liczenia są kompletnie niewiarygodne i nie spełniają ani oenztowskich, ani europejskich zaleceń w tym zakresie, na różne sposoby zaniżając liczbę ludzi pozbawionych dachu nad głową. Mimo to poprzednie „Badanie liczby osób bezdomnych”, przeprowadzone w styczniu 2015 r., wykazało, że jest ich ponad 36 tysięcy, z czego 2 tysiące to dzieci. Ostatnie badanie ministerstwo Elżbiety Rafalskiej przeprowadziło w nocy z 8 na 9 lutego, wzbudzając protest wszystkich organizacji zajmujących się pomocą ludziom bezdomnym – nie tylko ze względu na ułomną metodologię, ale także dlatego, iż spis został ogłoszony z zaledwie 2-tygodniowym wyprzedzeniem, co oczywiście wyklucza rzetelne przygotowanie do liczenia, wymagające współpracy samorządów, opieki społecznej, organizacji pozarządowych, policji, straży miejskich i gminnych, Straży Ochrony Kolei, szpitali, jadłodajni, wytrzeźwień i tysięcy rachmistrzów. „Tak krótki okres przygotowania do badania zaowocuje jego bardzo niską jakością, licznymi błędami metodologicznymi w realizacji, a w konsekwencji – znacznym zaniżeniem danych o rozmiarach bez-

Dokończenie ze str. 1

Nasza wiewióra doradziła, żeby wejść na strony Banku Światowego i wpisać nazwę grupy CCCC w pełnym brzmieniu. Okazało się, że

CCCC została umieszczona przez Bank Światowy na czarnej liście za praktyki korupcyjne. Dochodziło do nich w związku z kontraktami na Malcie, w Kenii, Tanzanii czy Bangladeszu.

Ale co tam lista Banku Światowego. Polecam dostępny w internecie artykuł z „Independenta” pod tytułem „Blacklisted Chinese bridge building company has history of backhander deals”. Są tam prześliczne zdjęcia. Jedno pokazuje drogę, która opadła

Żółty członek polskiego rządu

w dół wraz z jadącym po niej tirem. Na kolejnym jest most, którego prześła runęły na przepływający poniżej statek. Ale mnie najbardziej urzekło zdjęcie mostu przypominającego szlaczek z zeszytu pierwszoklasisty.

...

Od 9 do 15 października 2016 r. wicepremier Gowin przebywał z wizytą w Chinach. Poleciał tam jako minister nauki i szkolnictwa wyższego. I oficjalnie jego podróż do Chin miała związek z tą właśnie funkcją. Gowin spotkać się miał ze studentami polonistyki w Pekinie. PAP donosiła, że wicepremier pojedzie również do Czungdu, gdzie na miejscowej uczelni otworzy Centrum Studiów nad Polską. „Podczas kilkudniowego pobytu

w Chinach Gowin spotka się m. in. z wicepremierem ChRL Liu Yandong, ministrem oświaty Chenem Baoshengiem i ministrem nauki i techniki Wanem Gangiem. Celem wizyty jest rozwój polsko-chińskich kontaktów gospodarczych, naukowych i w dziedzinie technologii kosmicznych” – donosiła PAP.

Samoloty pasażerskie jeszcze nie latają w kosmos. Tymczasem podczas pobytu w Chinach wicepremier Gowin zniemacka ogłosił, iż między Łodzią a Warszawą powstanie gigantyczne lotnisko, które wybudują Chińczycy. Będzie to Centralny Port Lotniczy (CPL), znacznie większy od wszystkich dotychczasowych polskich lotnisk. Jego budowa ma pochłonąć co najmniej 20 mld zł. Inwestycję będzie realizować grupa CCCC.

W Warszawie zapanowała konsternacja. Taka deklaracja padła z ust wicepremiera rządu RP w Pekinie podczas oficjalnej wizyty rządowej. Inwestycję tę musieliby kredytować Chińczycy. Unia Europejska w nowej perspektywie finansowej nie przewiduje pieniędzy na rozbudowę lotnisk. Nic dziwnego – po doświadczeniach z tzw. międzynarodowymi portami lotniczymi w Radomiu, Rzeszowie i w podobnych miejscowościach w Rumunii, we Włoszech, w Grecji, Hiszpanii i Portugalii.

Najciekawsze jest to, że za budowę lotnisk odpowiada nie wicepremier Gowin, lecz wicepremier Morawiecki. Takich inwestycji nie realizuje Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego, tylko Ministerstwo Infrastruktury. O dużym lotnisku centralnym rzeczy-

wiście od dawna się mówi, lecz w Ministerstwie Infrastruktury zapadła decyzja o budowie Duoportu. Decyzja mądra, bo oszczędna, niewymagająca kilkudziesięciomiliardowych wydatków. Pomysł był taki, żeby zatykające się Okęcie powiązać z portem lotniczym w Modlinie. Wystarczy dobudować około 8 km torów, aby obydwa lotniska zostały połączone szybką koleją. Samoloty mogłyby wówczas lądować albo na Okęciu, albo w Modlinie, zależnie od tego, który pas byłby wolny. Co więcej, port lotniczy w Modlinie ma możliwość rozbudowy.

Minister Adamczyk, szef resortu infrastruktury, nękaną przez Gowina, powołał specjalną komisję. Ma ona porównać oba pomysły i powiedzieć, który lepszy: Duoport czy CPL. Przed zakończeniem prac doradczamy zapoznanie się ze wspomnianym artykułem w „Independent”. Most w kształcie szlaczka naprawdę warto zobaczyć. □

mciesiak@redakcja.nie.com.pl

Szachownica czerwona ze wstydu

Polska to jedyny kraj na świecie, w którym procedura zakupu samolotów dla rządu trwa 15 lat.

Toczy się dyskusja o lotach premier Beaty Szydło. Oburzają się publicyści. Mają jej za złe, że lata do domu samolotami, a przecież mogłaby jeździć pociągami. Są to na dodatek wojskowe samoloty transportowe casa, a nie rządowe. Krytycy zapominają dodać, że rząd nie ma swoich samolotów, co jest sytuacją niespotykaną na świecie. A transportowa casa jest bezpieczniejsza i tańsza w użyciu od wynajmowanych przez rząd embraerów. Pretensje do premier Szydło są więc chybione, a o tragiczny stan polskiej floty powietrznej służącej rządzącym trzeba przede wszystkim pytać jej poprzedników. Sprawa ta obciąża, w różnej mierze, kolejne rządy – od gabinetu Leszka Millera począwszy (SLD-PSL, PiS-LPR-Samoobrona, PO-PSL, PiS).

Brazylia kontra reszta świata

Najważniejsze osoby w państwie, takie jak prezydent, premier, marszałek Sejmu, Senatu i ministrowie powinny mieć zapewnione bezpieczeństwo lotów. Tymczasem wokół zakupu samolotów dla nich od 2002 r. trwa chochoł taniec. Przez blisko 15 lat żaden rząd nie zdołał kupić taboru, którym dałoby się dolecieć np. do USA, o Portugalii nie wspominając. W grudniu 2004 r. wydarzyła się katastrofa śmigłowca, na którego pokładzie znajdował się premier Leszek Miller ze switą. Nikt nie zginął tylko dzięki znakomitym umiejętnościom pilota. Od tego czasu nikt rozsądny nie podważał konieczności wymiany rządowego taboru latającego. Istniało społeczne przyzwolenie. 2 nowe średnie samoloty dalekiego zasięgu to był wówczas wydatek rządu 250 mln zł. Cóż to jest wobec blisko 25 mld zł lekką ręką wydanych na wojskowe samoloty wielozadaniowe F-16? Po drodze wydarzyły się dwie gigantyczne katastrofy (casa pod Mirosławcem i tupolew pod Smoleńskiem) i kilka mniejszych. Mimo to do dziś samolotów nie ma. Dlaczego? To pytanie dla wnikliwych prokuratorów.

Wielokrotnie na łamach „NIE” drobniawo opisywałem przyczyny takiego stanu rzeczy. W dużym skrócie: kolejne przetargi, a było ich, o ile dobrze liczę, 6, skutecznie torpedowano. Trwała walka między grupą wpływowych lobbystów i polityków, którzy chcieli zakupić dla rządu samoloty brazylijskiej firmy Embraer, a ekspertami i generałami lotnictwa, którzy nie chcieli embraerów, tylko jakiegokol-

wiek maszyny o parametrach odpowiednich dla tego typu zadań. Szło głównie o pułap i zasięg. Samolot dla najważniejszych osób w państwie powinien ze względów bezpieczeństwa latać nad korytarzami powietrznymi, którymi latają zwykłe samoloty rejsowe. Czyli powinien mieć pułap min. 13 tys. m. Samolot dla vipów powinien także móc bez problemu dolecieć np. od USA. Zasięg nie powinien więc być mniejszy niż 8 tys. km.

To, dlaczego rządzący robili wszystko, żeby nie kupić dla własnej wygody właściwych, bezpiecznych i funkcjonalnych samolotów, lecz dokonywali wręcz cudów, by kupić brazylijskie lata-dła o zbyt małym zasięgu i pułapie, powinna wyjaśnić prokuratura.

Psychiatra i jego wirus

Eksperci z dowództwa wojsk lotniczych latami uparcie przygotowywali kolejne przetargi, zawsze wstawiając parametry opisane wyżej. Najbliższy sukcesu wojskowi byli w 2007 r. za czasów ministra obrony narodowej Aleksandra Szczygły (PiS). Tuż

przed wyborami został przygotowany wzorcowy przetarg, który w spadku otrzymała następna władza.

Bogdan Klich – minister obrony narodowej z czasów pierwszego rządu Donalda Tuska – najpierw wywalił do kosza to, co zrobił Szczygło. Następnie podpisał decyzję nr 220 z 2 lipca 2009 r., którą powołał zespół mający na celu doprowadzenie do przejęcia przez 36. Specjalny Pułk Lotnictwa Transportowego dwóch samolotów typu Embraer 175. W tym samym roku skierowano wojskowych pilotów na szkolenia w Szwajcarii, gdzie na symulatorach uczono ich latać embraerami. Ani wtedy, ani dziś polskie wojsko nie dysponowało żadnymi samolotami tego producenta. Dlaczego Klich, wbrew opiniom ekspertów, chciał kupić embraery i czemu szkolono pilotów przed rozstrzygnięciem procedur przetargowych – to pytanie dla prokuratorów.

W tym czasie podjęto też decyzję o wyremontowaniu za grube pienią-

dze będących wówczas na stanie wojska dwóch tupolewów. Nawiasem mówiąc, pilotów wojskowych na ten typ samolotu na symulatorach nie przeszkolono, chociaż po generalnym remoncie jest to normą. Jeden z tupolewów pozostawał jeszcze w zakładach produkcyjnych w rosyjskiej Samarze, drugi, dopiero co po remoncie, roztrzaskał się pod Smoleńskiem. 10 kwietnia 2010 r., dymiące szczątki polskiego samolotu pokazywały media na całym świecie. Zginęło 96 osób. Tymczasem w ministerstwie

Katastrofa smoleńska spadła miłośnikom embraerów jak z nieba. Korzystając z pretekstu, MON pominęło procedury przetargowe i, powołując się na nagłą potrzebę, wydzierzało dwie brazylijskie maszyny z LOT-u. Cała operacja była koronkową akcją. Najpierw skarb państwa dofinansował Eurolot kwotą 200 mln zł – aby spółka córka LOT mogła kupić embraery. Następnie za blisko 200 mln zł rząd wynajął 2 brazylijskie samoloty na 4 lata. W sumie państwo wydało na całą operację znacznie więcej, niż kosztowałyby 2 najlepsze na świecie nowe samoloty.

Rząd leci na łebka

Niewielką satysfakcją było to, jaki wstyd musieli przeżywać nasi oficjele, gdy podróżowali samolotami, których nie używa żaden inny rząd, nawet brazylijski. Na dodatek rządowe embraery były w wersji takiej jak samolot dla tanich linii lotniczych. Przypomnijmy jedną z takich podróży. 22 czerwca marszałek Komorowski (wówczas kandydat na prezydenta), minister Klich (MON) i minister Sikorski (MSZ) ze switą wybrali się do naszych żołnierzy do Afganistanu. Embraer 175 miał problemy już na początku. Z powodu „drobnej” usterki o 2 godziny i 18 minut opóźnił się wylot. Gdy brazylijska maszyna wreszcie poderwała się do lotu, zaraz musiała lądować. W Erwanu (Armenia) zaplanowano bowiem pierw-

dzięki uprzejmości Szwedów, Amerykanów i Niemców.

Takich podróży były dziesiątki. Wielokrotnie dzierżawione dla rządu samoloty ulegały poważnym awariom, a sposób, w jaki nimi dysponowano, urągał wszelkim zasadom. Np. 25 czerwca 2010 r. rejsowy samolot LOT embraer 175 lecący z Rzymu do Warszawy musiał awaryjnie lądować w Krakowie. Nad Słowacją awarii uległ jeden z silników. Okazało się, że LOT nie ma zapasowej jednostki napędowej. Silnik wymontowano więc z samolotu embraer 175 SP-LIH wynajmowanego przez MON na potrzeby rządu i zainstalowano w czekającym w Krakowie rejsowym embraerze. Dopiero 8 lipca, po dwóch tygodniach, maszyna mogła wrócić do Warszawy. Do vipowskiego samolotu, który posłużył jako rezerwuuar części zamiennych, silnik na powrót włożono 12 lipca. Ciekawe, że nikt z rządzących nie kazał sprawdzić, co za małał wymyślił te embraery. Ciekawość tę polecamy prokuraturze.

Już za chwileczkę, już za momencik

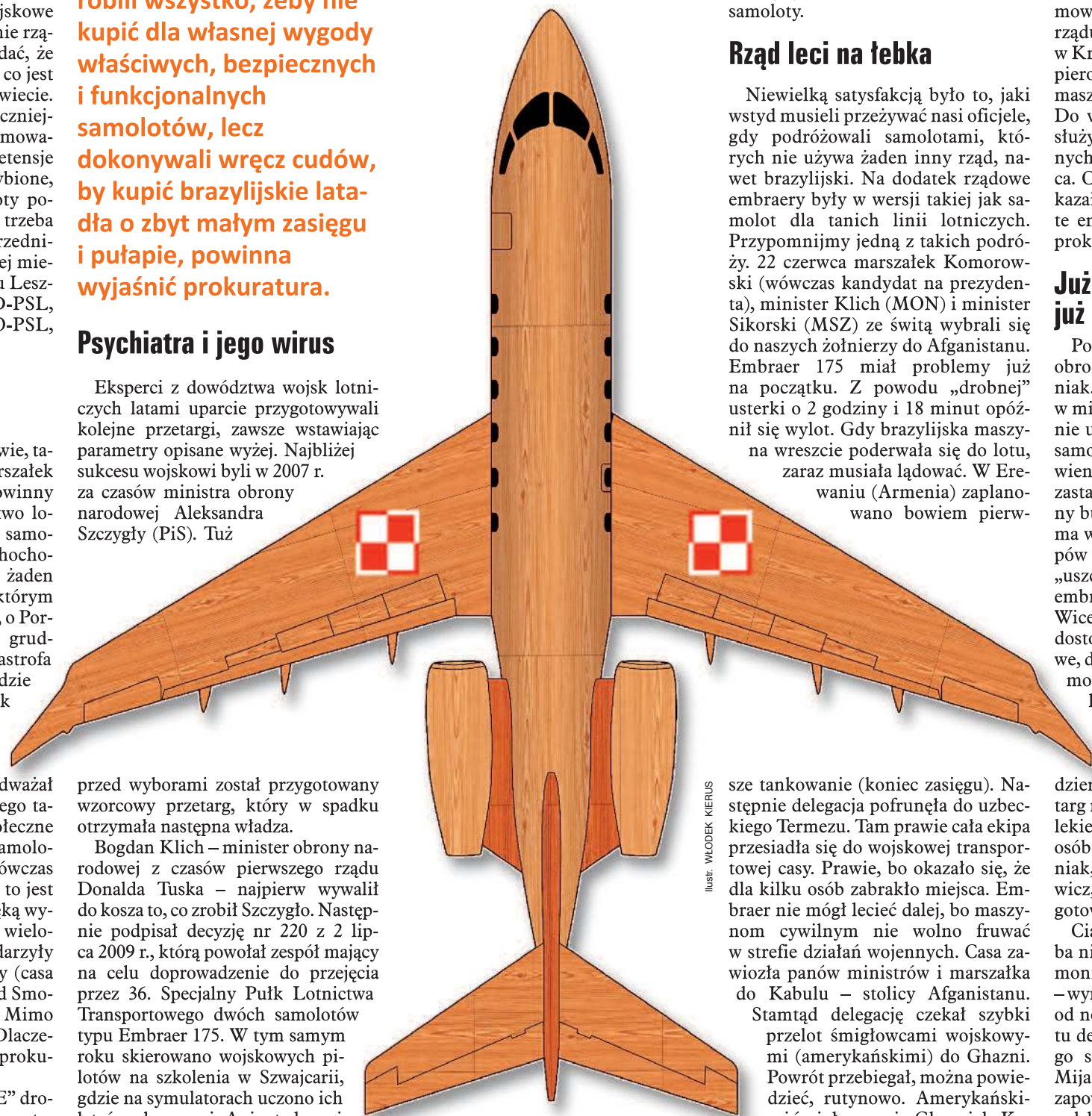
Po Klichu nastąpił nowy minister obrony narodowej Tomasz Siemoniak. Przez 4 lata jego urzędowania w ministerstwie przy ul. Klonowej też nie udało się doprowadzić do zakupu samolotów dla rządu. Na usprawiedliwienie Siemoniaka trzeba wyjaśnić, że zastał po poprzedniku niewyobrażalny burdel i musiał się uporać z wieloma ważniejszymi niż samoloty dla vipów sprawami. Poza tym poprzednik „uszcześliwił” go umową na dzierżawę embraerów, która wygasła w 2017 r. Wicepremier Siemoniak kazał więc dostosować embraery, na ile to możliwe, do zadań, jakie miały pełnić. W samolotach pojawiła się namiastka saloniku z łącznością satelitarną i innymi udogodnieniami.

W 2014 r., a więc na 3 lata przed wygaśnięciem umowy dzierżawy, MON zabrało się za przetarg na 2 małe i 2 średnie samoloty dalekiego zasięgu dla najważniejszych osób w państwie. Jak twierdzi Siemoniak, jego następcą, minister Macierewicz, otrzymał w spadku w pełni przygotowane kwity. Nic, tylko zamawiać.

Ciąg dalszy tej historii nikogo chyba nie zdziwi. Macierewicz pracę Siemoniaka potraktował tradycyjnemu – wyrzucił do kosza. Następnie wszczął od nowa procedurę, która od momentu decyzji do czasu odebrania gotowego samolotu rutynowo trwa 2 lata. Mija 15 miesięcy rządów PiS. Według zapowiedzi w listopadzie tego roku polski rząd otrzyma 2 samoloty Gulfstream G550 amerykańskiej produkcji. Koszt wraz z pakietem szkoleniowym i logistycznym to ok. 430 mln zł. Wygląda na to, że definitywnie zrezygnowaliśmy z zakupu embraerów. Aż się łezka w oku kręci...

ANDRZEJ ROZENEK

andrzej.rozenek@redakcja.nie.com.pl



ILUSTR. WŁODEK KIERUS

Klicha w godzinach popołudniowych zwołano pilną radę. Jej przedmiotem było... przyspieszenie procedury przyjęcia samolotów Embraer na stan 36 SPLT (!). Obradowanie w takim momencie, na temat tego, jak zainfekować wojsko brazylijskimi lata-dłami, jest wielce symboliczne.

W Krukłankach, wiosce koło Giżycka, zawrzało. Powód: władze samorządowe przystąpiły do realizacji ustawy o zakazie propagowania komunizmu lub innego ustroju totalitarnego przez nazwy budowli, obiektów urzędzeń użyteczności publicznej. Akt ten na wszystkie gminy w Polsce nakłada obowiązek zmiany nieprawomyślnych nazw na właściwe; samorządy mają czas do 2 września. Jeśli do tego czasu nie wykonają ustawowego zalecenia, do dzieła przystąpi wojewoda, wydając zarządzenie zastępcze, czyli nazywając ulice zgodnie z duchem dobrej zmiany.

– U nas w grę wchodziła tylko jedna ulica. Za to główna – mówi Bartłomiej Kłoczko, wójt Krukłanek.

Główna ulica nosi nazwę 22 lipca. Zamieszkuje ją 230 krukłanczanek i krukłanczan. To ¼ populacji wioski. Przy 22 lipca są: kościół katolicki Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, cerkiew greckokatolicka św. Józefa Kuncewicz, ośrodek pomocy społecznej, biblioteka i 30 podmiotów gospodarczych.

Przy ulicy świętej nierządniczy

Do wykiwania reżimu użyto Biblii.

– Dlatego podeszliśmy do sprawy pragmatycznie – wyjaśnia wójt Kłoczko.

Pragmatyczne podejście polegało na tym, że rada gminy podjęła uchwałę „o zmianie nazwy ulicy 22 lipca na ulicę 22 lipca”.

...

„Nazwa ulicy 22 Lipca w Krukłankach w rzeczy samej była nadana w związku ze świętem państwowym, które nazywało się Narodowym Świętem Odrodzenia Polski, na pamiątkę rocznicy ogłoszenia manifestu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego w 1944 r. Ta

nazwa w środowisku lokalnym nie budzi żadnych kontrowersji (...), duża ilość mieszkańców nie ma nawet wiedzy, od czego się ona wywodzi. Zwłaszcza że święto 22 lipca zostało zniesione na mocy ustawy z 6 kwietnia 1990 roku i od tamtego czasu nie są obchodzone żadne uroczystości z nim związane. W związku z tym, że 22 lipca jest tylko datą w kalendarzu, proponuje się zmianę nazwy ulicy 22 lipca na ulicę 22 lipca. Należy wskazać, że od 2016 r. dzień ten ustanowiono dniem świętej Marii Magdaleny, więc data ta w żaden sposób nie kojarzy się z ustrojem totalitarnym” – czytamy w uzasadnieniu uchwały.

Najpierw o „ulicznym skandalu” napisał „Nasz Dziennik”. Potem odezwały się wilczury, czyli dziennikarze niepokorni z „Gazety Polskiej Codziennie”. W publikacji „Dekomunizacyjne cwaniactwo” uchwałę rady nazwali absurdalną, przypominając, iż „manifest PKWN, którego ogłoszenie świętowano właśnie 22 lipca, formalizował wprowadzenie w powojennej Polsce stalinizmu, stwierdzał, że państwem kierować będzie Krajowa Rada Narodowa, która złożona była z polityków całkowicie podporządkowanych sowieckim władzom”.

Głos dał także prof. Jan Żaryn, historyk i senator PiS, ironizując, że „zachowanie radnych z gminy Krukłanki pokazuje, iż bardzo oszczędnie zarządzają oni funduszami gminy”.



Były asystent polityczny Ziobry chroni dupę asystentowi Macierewicza.

Choć rzecznik MON i szef gabinetu politycznego Antoniego Macierewicza został chwilowo odstawiony na boczny tor, to i tak triumfuje. Prokuratura w Piotrkowie Trybunalskim umorzyła śledztwo w sprawie korumpowania działaczy Platformy, a w Warszawie odmówiła wszczęcia postępowania w sprawie nielegalnego zajmowania przez Misiewicza stanowisk – szefa gabinetu politycznego ministra obrony narodowej i w radach nadzorczych spółek skarbu państwa.

Postanowiłem sprawdzić, jak podwładni Ziobry przyłożyli się do wyjaśniania obu spraw. Zarzuty wobec Bartłomieja Misiewicza były bowiem poważne. Szefów prokuratur poprosiłem o udostępnienie akt.

W Prokuraturze Okręgowej w Piotrkowie Trybunalskim nie robiono problemu. Tamtejsza jednostka wszczęła śledztwo po artykule w „Newsweeku”, który napisał, że Misiewicz obiecywał radnym powiatowym Platformy w Bełchatowie zatrudnienie w Polskiej Grupie Energetycznej w zamian za utworzenie koalicji i poparcie przy obsadzeniu stołka wicestarosty.

Sledczy przesłuchali uczestników spotkania. Żaden z nich nie potwierdził rewelacji prasowych. Co prawda rzecznik MON mówił radnym PO, że jeśli poprą PiS, to „zapewni im byt”, ale odebrali te słowa jako zapewnienie bytu politycznego, tzn. stanowisk w radzie powiatu. Wszyscy stanowczo zaprzeczyli, aby Misiewicz składał propozycje korupcyjne, obiecując pracę w zamian za poparcie polityczne. Prokuratorowi nie pozostało nic innego, jak umorzyć śledztwo.

Jeszcze zanim sprawa została zakończona, politycy PO podawali w wątpliwość rzetelność prowadzonego śledztwa.

– Sprawę Misiewicza nadzoruje inny „Misiewicz”, czyli pani prokurator Witko, bo jest ona beneficjentem „dobrej zmiany” – grzmiał poseł Cezary Tomczyk.

– Należy zadać pytanie, czy nad całym postępowaniem nie został roztawiony parasol ochronny, który ma ochronić pana Misiewicza? Czy nie jest tak, że ci, którzy tropili układy, sami tworzą jeden z nich? – wtórował mu poseł Jan Grabiec.

Szefową prokuratury w Piotrkowie Trybunalskim jest mianowana przez Ziobrę Magdalena Witko, żona posła PiS minionej kadencji Marcina Witki, który jest teraz prezydentem Tomaszowa Mazowieckiego i kolegiuje się z prezydentem Andrzejem Dudą. Panowie muszą być w dobrej komitywie, gdyż Duda powołał Witkę do Narodowej Rady Rozwoju, a w internecie można znaleźć wspólne zdjęcia pary prezydenckiej i małżeństwa Witków.

Zarzuty pod adresem prokurator Witko były bezzasadne i obraźliwe. Śledztwo przeprowadzone zostało w sposób rzetelny, a o transparentności postępowania świadczy także to, że tygodnik „NIE” otrzymał dostęp do akt.

Posłowie, którzy wylewali pomyje na prokurator Witko, powinni zainteresować się sprawą prowadzoną przez Prokuraturę Okręgową w Warszawie. Na jej czele stoi były asystent polityczny Zbigniewa Ziobry Paweł Wilkoszewski.

Warszawska prokuratura prowadziła postępowanie sprawdzające po ujawnieniu przez dziennikarzy, że Misiewicz, który nie ma wyższego wykształcenia, wbrew prawu został szefem gabinetu politycznego szefa MON oraz otrzymał posady w radach nadzorczych Polskiej Grupy Zbrojeniowej i Energa Ciepło Ostrołęka.

Zgodnie z rozporządzeniem Rady Ministrów, aby zostać szefem gabinetu politycznego, trzeba



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Krycie Misiewicza

mieć wyższe wykształcenie i 7-letni staż pracy. Statut Polskiej Grupy Zbrojeniowej jasno określa wymogi stawiane kandydatom na członków rad nadzorczych: muszą legitymować się wyższym wykształceniem, przejść stosowne szkolenie i zdać egzamin. Zwolnieni z niego są adwokaci, radcy prawni, biegli rewidenci księgowi, doktorzy habilitowani nauk prawnych i ekonomicznych. Podobne wymagania muszą spełniać członkowie rady nadzorczej spółki w Ostrołęce. Misiewicz ma tylko maturę i krótko pracował jako pomocnik w aptece w Łomiankach.

Choć naruszenie prawa jest ewidentne, to jednak prokuratura odmówiła wszczęcia śledztwa, a „NIE” odmówiono dostępu do akt. Michał Dziekański, rzecznik prokuratury napisał: „**W odpowiedzi na wniosek o udostępnienie do wglądu akt sprawy (...) uprzejmie informuję, że na podstawie art. 156 § 5 Kodeksu postępowania karnego prawo przeglądania akt zakończonych postępowań przygotowawczych przysługuje jedynie stronom postępowania, którą wnioskodawca nie jest. Ustawa o dostępie do informacji publicznej (...) nie ma zastosowania w przedmiocie udostępnienia do wglądu całości akt zakończonych postępowań przygotowawczych, ponieważ akta sprawy, jako zbiór materiałów, same w sobie nie stanowią informacji publicznej (...).** Powyższe nie pozbawia prawa do wnioskowania o udostępnienie konkretnych dokumentów z akt ww. postępowania, które – o ile zawierają informacje publiczne – mogą być udostępnione”.

Aby wnioskować o udostępnienie konkretnych dokumentów, muszą wiedzieć, co znajduje w aktach. Prokuratora Dziekańskiego poprosiłem, aby przesłał kopię, fotokopię lub skan spisu treści akt. Dziekański odpisał: „**W związku z wnioskiem o udostępnienie informacji publicznej (...) uprzejmie informuję, że spis treści akt nie zawiera informacji publicznych**

w rozumieniu ustawy (...) o dostępie do informacji publicznej, w związku z czym nie podlega udostępnieniu w trybie przewidzianym w ww. akcie prawnym”.

Wywody prokuratora są absurdalne! Świadczą o tym, że sprawa śmierdzi i ma drugie dno. Odmawiając dostępu do akt, prokuratura chce coś ukryć.

Po pierwsze, gdy prokuratura była pod rządami Platformy Obywatelskiej, a potem niezależna, w Prokuraturze Okręgowej w Warszawie wielokrotnie korzystałem z akt zakończonych postępowań. Towarzyszył mi mój pies, który biegał po gabinecie, w którym urzęduje prokurator Dziekański. Mimo że w artykułach krytykowałem prowadzone śledztwa dotyczące ważnych polityków PO i ministrów, wskazując na błędy popełnione przez prokuratorów, nigdy nie spotkały mnie za to szykany.

Po drugie, w grudniu 2015 r. Misiewicz (wtedy oficjalnie był tylko doradcą w gabinecie politycznym Macierewicza) w asyście Żandarmerii Wojskowej dokonał nocnego najazdu na Centrum Ekspertki Kontrwywiadu NATO (CEK NATO) w Warszawie. Celem akcji było usunięcie z centrum ich szefów i znalezienie dowodów na rzekomo popełnione przez nich przestępstwa.

Na rozkaz Misiewicza rozwiercono zamki w drzwiach i rozpruto sejfy. Zabrano wszystkie rzeczy, zarówno służbowe, jak i prywatne należące do członków kierownictwa placówki.

Byli szefowie CEK NATO złożyli zawiadomienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa. Prokuratura Okręgowa w Warszawie rozwinęła parasol ochronny nad Misiewiczem i nie chciała zająć

Paweł Wilkoszewski to jedna z najstydniejszych postaci ekipy Zbigniewa Ziobry, gdy był on ministrem sprawiedliwości i Prokuratorem Generalnym za pierwszych rządów PiS (2005–2007). Choć Wilkoszewski był tylko aplikantem prokuratorskim, to szybko stał się szarą eminencją Prokuratury Okręgowej w Warszawie, do której został oddelegowany.

Ziobro powierzył mu wszczęcie śledztwa w sprawie przecieku z nieudanej akcji CBA w Ministerstwie Rolnictwa. Tropił „układ warszawski”, czyli podejrzone związki stołecznych polityków PO i SLD z biznesem. Wilkoszewski poleciał wojskowym helikopterem do Gdańska, aby przesłuchać Jaromira Netzla, ówczesnego prezesa PZU, w sprawie przecieku z afery gruntowej. Brał też udział w śledztwie przeciwko kardiochirurgowi Mirosławowi G. Jak ujawnił „Dziennik” jesienią 2007 r., Wilkoszewski godzinami śleczął w kancelarii tajnej warszawskiej prokuratury. Czytał stenogramy z podsłuchów dziennikarzy.

Zasłynął tym, że zgubił przenośny dysk pamięci, pendrive, na którym miały być kopie akt najgroźniejszych spraw.

Dopiero w 2009 r. Wilkoszewski ukończył prokuratorską asesurę i zdał egzaminy.

Ziobro nieprzypadkowo mianował Wilkoszewskiego prokuratorem okręgowym w Warszawie. Jednostka ta swoim zasięgiem obejmuje ministerstwa, urzędy państwowe, Sejm i Senat, Kancelarię Prezydenta, Trybunał Konstytucyjny. To tu trafiają najbardziej polityczne śledztwa, które w zależności od zapotrzebowania są umarzane lub sprawom nadaje się nadzwyczajny bieg i rozgłos.

A.S.

się sprawą. Oficerowie odwołali się do sądu. Ten nakazał prokuraturze wszczęcie śledztwa.

Reprezentujący byłych szefów CEK NATO mecenas Antoni Kania-Sieniawski mówił: „**Sąd w trakcie ustnego uzasadnienia wskazywał prokuraturze sprawdzenie m.in., czy przed odwołaniem szefów Centrum zmieniono umowę między Polską a Słowacją, która dokładnie regulowała tryb zmiany kierownictwa tej jednostki. A także dlaczego na teren jednostki weszli ludzie bez uprawnień, dlaczego zmieniono ochronę placówki z żołnierzy Służby Kontrwywiadu Wojskowego na Żandarmerię Wojskową, dlaczego pracownicy CEK NATO nie zostali dopuszczeni do swoich pomieszczeń, skoro oficjalnym powodem nocnego wejścia była inwentaryzacja”.**

Prokuratura ma także wyjaśnić rolę i obecność adwokata Macierewicza, Macieja Lwa-Mirskiego, który też brał udział w najściu, a który nie był pracownikiem MON ani SKW i nie wiadomo, co robił w tajnej jednostce.

Podejrzenia co do stronnictwa warszawskiej prokuratury są więc jak najbardziej uzasadnione. Aby wyjaśnić wszelkie wątpliwości, chciałem się spotkać z prokuratorem Wilkoszewskim. Niestety wyjechał na ferie zimowe, ale – jak zaznaczył prokurator Dziekański – „**nie wykluczamy spotkania w późniejszym terminie”.** Kiedy – tego już nie sprecyzował.

Zapytałem rzecznika Prokuratury Okręgowej w Piotrkowie Trybunalskim, dlaczego udostępnił mi akta. Trudno bowiem przypuszczać, aby prokurator Magdalena Witko darzyła tygodnik „NIE” szczególną sympatią. „**Takie mamy przepisy prawa. Nie mogłem postąpić inaczej”** – powiedział prokurator Sławomir Kierski.

Jak widać inne prawo obowiązuje w prokuraturze w Piotrkowie Trybunalskim, a inne w Warszawie.

ANDRZEJ SIKORSKI
sikorski@redakcja.nie.com.pl

Wójt Krukłanek – autor projektu uchwały – przez patriotów został okrzyknięty zdrajcą, cwaniakiem i komuchem. Ten ostatni zarzut jest chybiony choćby z tego powodu, że Bartłomiej Kłoczko urodził się w 1983 r., zatem w komunie nie mógł nawet zapisać się do zuchów, zaś donosić zdolny był najwyżej na kolegów z piaskownicy. Ale łatka przylgnęła.

– Niespecjalnie tym się przejmuję. Istotne, że mieszkańcy ulicy 22 lipca nie chcieli, aby zmieniać nazwę. W sensie ścisłym konsultacji nie przeprowadziliśmy, ale rozmawiałem z kilkudziesięcioma osobami. Owszem, pojawiła się propozycja, żeby zmienić nazwę na pewnego świętego, a kilka osób chciało, żeby ulicę nazwać imieniem Lecha Wałęsy. Ale to, co PiS wyprawia z Wałęsą, wskazuje, że niebawem wejdzie w życie ustawa dewałacyjna i zaraz znowu musielibyśmy zmienić nazwę ulicy. Uchwała zmieniająca nazwę ulicy z 22 lipca na 22 lipca była najrozsądniejszym rozwiązaniem.

Projekt uchwały jest autorstwa wójta, ale uzasadnienie odwołujące się do Marii Magdaleny to

robotą przewodniczącego rady. Tak się bowiem złożyło, że w zeszłym roku zawierał związek małżeński i aby termin wyznaczyć na jakiś stosowny dzień,

przeglądał kościelny kalendarz. No i zauważył, że 22 lipca jest świętem jawnogrzeszniczy wskutek decyzji papieża Franciszka. W pisuarowej Polsce to znakomity pretekst do zmiany nazwy ulicy 22 lipca na 22 lipca.

...

Jaki będzie ciąg dalszy? Prawicowe media nie kryją, że nadzieję pokładają w wojewodzie warmińsko-mazurskim. Może on uznać, że uchwała radnych jest niezgodna z ustawą o zakazie propagowania komunizmu. Jeśli tak się stanie, a rada

nie zmieni nazwy do 2 września, wojewoda będzie mógł nazwać ulicę np. imieniem Lecha Kaczyńskiego. Uzasadnienie uchwały stawia go jednak w trudnej sytuacji, albowiem występując przeciw radnym, będzie jednocześnie występował przeciwko Kościołowi, a w szczególności jego głowie.

Na ciąg dalszy z niecierpliwością czekają samorządy w całej Polsce. Nazwa 22 lipca jest bowiem popularna i jeśli okaże się, że wojewoda nie przeczepi się do uchwały krukłankowskich radnych, precedens może się okazać nadzwyczaj pozyteczny.

...

Wójt Krukłanek nie jest zwolennikiem dobrej zmiany. Na swoim profilu facebookowym zamieszcza filmiki prezentujące Antoniego Macierewicza w towarzystwie żandarmów przechodzącego przez jezdnię w miejscu niedozwolonym, a także siebie w tle z flagami nie tylko biało-czerwonymi, ale także unijnymi, co jasno wskazuje jego ideologiczną proveniencję.

Wołk-Łaniewska: – Ja to nawet byłabym za tym, żeby ten Saryusz-Wolski został Tuskiem, bo wtedy Tusk jak nic wróci do Polski, a jak faceta nie znoszę, to uważam, że by się przydał.

Daniszewska: – Wiem, pisałaś. Nawet się zdziwiłam.

– Ale najbardziej mnie w tym zamieszaniu ucieszyła pani minister Kempa, która pytała o to, czy Jacek Saryusz-Wolski zastąpi Donalda Tuska na stanowisku przewodniczącego Rady Europejskiej, odpowiedziała radośnie: „Proszem paaana, cóż to za spekulacje”. Na co dziennikarz, że „Financial Times” tak pisze, a Kempa: „Proszem paaana, jesteśmy w Polsce”. I to jest kwintesencja prowincjonalizmu tej władzy, który nieodmiennie ujmuje mnie za serce.

– A ja jestem wkurwiona.

– Na Kempę?

– Nie, na „Politykę”. Kurwa, Wołku, „Polityka” obchodziła 60-lecie. No i dobrze. Zaprośili w chuj ludzi. I dobrze. Jurek nie poszedł na bankiet, bo dla niego taki tłum i niewygodne krzesła to za dużo i niewygodnie. I nie ma do nikogo pretensji. Jak to on, do nikogo i o nic. A ja się wkurwiłam.

– Że krzesła niewygodne?

– Nie, że wydali numer jubileuszowy, w którym nie ma Urbana. Wygumkowali go na zdjęciach i w tekście Baczyńskiego.

– Baczyński i Kwaśniewski w oranżerii...

– Że jak?

– Taki dowcip był za komuny. Jak towarzysz Stalin likwidował partię leninowską, to ze zdjęcia politbiura z 1923 r. znikali po kolei: Trocki, Zinowiew, Kamieniew, Bucharin, Rykow, Tomski... Z tym że – wobec niskiego rozwoju fotoszopu – zastępowani byli przez palmy. I tak mniej więcej wiosną 1938 r. zdjęcie przemianowano na: „Lenin i Stalin w oranżerii”.

– No to całkiem jak u Baczyńskiego. Urbana w „Polityce” nie było. Dział krajowy i te wyśmienite reportaże tworzyły się bez szefa. Jurek Baczyński mógł o nim wspomnieć, pisząc akapit o różnorodności zespołu. A gówno! Baczyński przez jakiś czas pisał felietony do pisma „Firma”, które prowadziłam. A poza tym pracuje tam dwóch moich byłych kołanków. Mogli przypomnieć Baczyńskiemu o Urbanie.

– Ty naprawdę sądzisz, że on zapomniał? Tak że łba mu wyszło?

– Może i nie. Dopiero mój stary przyjaciel zadzwonił i powiedział: przecież „Polityki” bez Urbana by nie było. Nie wiem, jak by było, ale nie da się wygumkować historii. Jurek Baczyński tworzy pozory, że to on i młody zespół to jest to pismo. Gówno! Mietek Rakowski jest ledwie wspomniany. Już tak się wkurwiłam, że nie szukałam nazwiska Grubego Garlickiego. Myślę, że gdy pismo powstawało, Jurek Baczyński ledwie raczkował. I nie umiał czytać ani pisać. Nigdy nie został wybitnym dziennikarzem, ale całkiem kumatym menedżerem – tak.

– Nigdy nie miałam dobrego zdania o Baczyńskim. Szczególnie mnie zniesmaczył, jak go wybrali „Dziennikarzem Dwudziestolecia”. Nie jestem wielbicieleką Michnika, ale jednak nie sposób nie przyznać, że człowiekiem, który ukształtował oblicze mediów „wolnej Polski”, był Adam Michnik. Zasluga Baczyńskiego polega na przerobieniu najważniejszego pisma społeczno-politycznego na poczytny kolorowy magazyn. Mówię „poczytny” w cudzysłowie, bo ja tego czytać nie mogę...

– Ja też nie za często. No i wylałam swoje żale. Żal mi Łysego, ale nie wiem, co on czuje. Nie wiem, czy mówi prawdę, że go to gówno obchodzi, że nie ma żalu. On by tego w życiu nie powiedział i mam nadzieję, że jako naczelny nie ocenzuruje mnie. A może to ja jestem małostkowa? Rozmowy z tobą często wykorzystuję, żeby komuś przypierdolić.

– Ależ skąd, Małgosiu, nie zauważyłam...

– Ty jesteś bardziej dyskretna i serdeczniejsza wobec świata i ludzi. Nawet Millera potrafisz pochwalić.

– Bo ja lubię Millera.

– Właśnie o tym mówię, hipokrytko. Na co dzień jestem miła i sympatyczna. Wyżywam się tylko w rozmowach z tobą. Może masz na mnie zły wpływ?

– A jakże.

– Wiem, że niedługo idziesz na „Kłatwę” do Teatru Powszechnego. Przeczytaj sobie re-

Dialogi dam w drodze do kościoła

+++++
AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA z rozbawieniem przygląda się, jak Saryusz-Wolski z mało istotnego eurodeputowanego awansuje na stanowisko pisowskiego noża w plecy Platformy. **GOŚKA DANISZEWSKA** Saryusza olewa, bo ma ważniejsze zajęcia. Popierdala na rowerze w pełnym wymiarze i coraz więcej osób jej się kłania lub odkłania. Coraz więcej osób się uśmiecha. A 8 lat temu, gdy zaczynała jeździć, tego nie było. Pan Jan ma już zapewne dowód osobisty, zatem – jak powiedział – jest już człowiekiem. Ona zwykle w przedwiośniu czuje się lepiej, bo uwielbia być starsza, a za chwilę będą jej urodziny.



Ilustr.: WŁODEK KIERUS

cenzie Krzysztofa Vargi w „Dużym Formacie”. Varga jest bardzo mądry i zdolny. Zjebał spektakl, aż miło poczytać. I aż mi się odechciało iść. Ale pójdę, bo mam z trudem zdobyte bilety i żeby wkurwić pikietę pod teatrem.

– To tak jak ja.

– Może będą się za mnie modlić?

– Na pewno, tylko najpierw cię oplują.

– Właściwie dlaczego się dzisiaj tak samobiczuję? To pewnie przez Franciszka papieża. On trafnie wałnął, chwalać nas jako ateistki, a nie zakłamate katoliczki. Ale nie do końca. Ja jako osoba głęboko niewierząca, a przez to nie wierzę w piekło i niebo, spowiedź, odpuszczenie grzechów – staram się być dobra. Mnie z przepierdalonego życia nikt nie rozgrzeszy. Muszę przeżyć najlepiej i najmądrzej, żeby ta chwila bytu Daniszewskiej na Ziemi była coś warta. Katol nabroi, wałnie głową w konfesjonał, przeżegna się i jest wolny. Zapomniałam o pokucie... Wałnie też 3 paciorki. Patrz, jakie te klechy chytre. Uzależniają od siebie, bo to one siedzą w tym pudle, robią znak krzyża. A ty hulaj dusza! Zżyjesz jak chcesz, a potem znowu na kolanka i pokuta. I wolność! A ja? Muszę żyć dla tej sekundy dobra. A może dobroci. Ale odjechałam! I to na trzeźwo.

– No, tak jakby... À propos dobra: chciałam z całego serca poprzeć Justynę Klimasę.

– A kto to?

– Młoda działaczka SLD, która napisała na Facebooku, że – cytuję – „wśród wyklętych było mnóstwo bandytów, ale też dzieciobójców i pedofili”, oraz że „byli nierobami, którzy zamiast odbudowywać swój kraj i pracować, woleli pochować się w lasach i napadać uczciwych obywateli”. Może z tymi pedofilami trochę przesadziła, bo nawet jak się tam trafił jakiś ksiądz, to nie miał do dyspozycji zbyt wielu ministrantów, ale generalnie zgadzam się z jej opinią w całej rozciągłości i serdecznie gratuluje.

– Się przyłączam.

– A pani premier powiedziała, że „żołnierze wyklęci uczą nas, co to znaczy patriotyzm, co to znaczy miłość do ojczyzny, co to znaczy poświęcenie dla innych”. Myślisz, że żołnierze wyklęci wiedzieli, że poświęcają się dla Jarosława Kaczyńskiego?

– Na pewno byliby dumni.

daniszewska@redakcja.nie.com.pl
awl@redakcja.nie.com.pl

TRYBUN@LUDZI



Grzybki kłamczuszki

Facebook

Anna M. Kotulska: Prezes łże, premierka łże, o Macierewiczu i Błaszczaku nawet pisać nie warto, bo nie dość, że kłamią, to jeszcze pojebani na maksa, to czego oczekujecie od biednych podwładnych? Zapewne też bym ściemniała na potęgę.

Mirosław Głuchowski: A swoją drogą (nomen omen!) tylko lipy i brzozy żal!

Bartosz Olekszy: Przykład z samej góry idzie. Dyletanctwo przykrywa się beczelnością.

Janina Łysakowska: Nad Polską nie ma smogu, to opary absurdu, cynizmu chamstwa, głupoty i innych unoszące się nad PIS.

Strona www

Darek: Borowiki – pisychotropiki

Demon: Złodzieje, wracajcie!! Schizofreników – psychopatów zagrzebionych nie można dłużej znieść...

Zefirzdupy: Borowiki to królowie grzybów, a te Psiarowate i Sromotnuikowe grzybki, to jakieś ciury dworskie. Amen

Ivan: Grzybki w lesie wam tylko zostaną, jak Trump rozwali internet. Amerykański kolega mi PiSał, że ustawę ma już przygotowaną.

BOG: Borowiki są halucynogenne. W ich obecności Szydło ma wizję, że jest premierą, a Duda, że jest prezydentem.

Zbyszek S: Tylko grzybki to kłamczuszki? A cała kaczka partia z „duchownymi” przywódcami, to sama prawda?

Forum

Korbaczewska: BOR – Biuro Odwiedzania Rowów

wywartowiec52: Sezon grzybobrania na dobre jeszcze się nie zaczął, a już ich pełno można znaleźć ma drogach i w rowach.

stary praktyk: Tak było, jest i będzie. Albowiem władza demoralizuje, a władza absolutna, demoralizuje absolutnie... czy jakoś tak?!

st1111: Bez ochrony jest jednak znacznie bezpieczniej.

Logik: Nasze borowiki lubią rydzikować na drodze.

Wypowiedzi pochodzą z forum internetowego tygodnika „NIE” i Facebooka

JEST PAN ZA PISEM CZY PRZECIW PO?



Frys. TOMASZ WIATE

Wina Leszka Pękalskiego, „wampira z Bytowa”, wcale nie jest ewidentna. Za kilka miesięcy opuści więzienie. Co robi z nim PiS?

Prosiłam szefów Aresztu Śledczego w Gdańsku o zgodę na rozmowę z Leszkiem Pękalskim, wampirem z Bytowa. Hurtownikiem zbrodni. Jako jeden z najbardziej znanych polskich zabójców, ma notkę biograficzną w Wikipedii. Podobno zamordował kilkadziesiąt kobiet. Przyznał się do 70, według innych źródeł 90. Szczegółowo opisał śmierć 67. Prokuratura oskarżyła go o zgładzenie 17 kobiet. Został skazany za zabicie jednej. Dostał 25 lat więzienia.

Od 2007 r. Pękalski co roku ubiega się o przedterminowe zwolnienie. 11 grudnia 2017 r. powinien wyjść na wolność. Ma 51 lat. Na razie sąd zdecydował o obserwacji psychiatrycznej. Bo więzień źle rokuje.

Mam świadomość, że skazany nie rozmawia za darmo. Usta otwiera paczka żywnościowa. Duża.

„Proponuję wywiad, czyli formę, w której rozmówca będzie mieć możliwość ostatecznego wpływu na materiał. Będą tam również jego racje, nie zamierzam nim straszyć dzieci” – napisałam.

Major Marek Rzeszotko: „Aktualne pozostaje oświadczenie Leszka P. dotyczące braku zgody na współpracę z mediami”.

Miał matkę i babcię

Nieślubny syn robotnicy rolnej. Piła. Ładował w bidulach. Osierociła go w wieku 12 lat. Zastąpiła ją babka. Też piła. Biła. Na zmianę przebywał w domu dziecka i u babki. Tu albo tu. Wszyscy widzieli, że chłopiec wolno myślał nawet jak na pegeerowskie warunki.

Czy takie dzieciństwo wystarczy, żeby pozbawić człowieka uczuć? A może winne są zmiany w budowie mózgu?

Opinie biegłych rozpełzły się po mediach. Pozbawiony empatii cwaniak. Oprócz tego więzień własnego popędu seksualnego. Pedofil, nekrofil, nimfofil, sadysta, nekrosadysta.

Ale to było dużo później. Po śmierci babki Leszka przyszedł wuj mieszkający w Osiekach. Gmina Borzytuchom, wtedy województwo śląskie. Tereny pegeerowskie. Powszechna bylejałość. Mimo to chłopiec odstawał od rówieśników. Brudny. Wyobcowany.

Wychodził z domu i nie wracał. Czasem nie było go dzień albo dwa.

Sąsiadka dawno skończyła 70 lat. Pamięta, jak Leszek siedział na schodach starej chałupy i łykał własne smarki.

– Chory jesteś? – pytała. – Głodny? Apetyt miał niepomahowany. Nawet na suchy chleb.

Kina w okolicy nie było. Z lepszym światem Borzytuchom łączyła kolej. Funkcjonowała od 1884 r., można było jechać do Gdańska albo do Warszawy.

– Wsiadał w pociąg i znikał na dzień albo dwa – pamięta kobieta.

200 km to dość, aby nacieszyć się podróżą. Czy po raz pierwszy wysiadł na stacji Toruń Główny, bo miał za plecami rozsierdzonego konduktora? Na pewno podróżował na gapę.

Chciał lalkę

Opowiadał potem, że wtedy zabił po raz pierwszy. Miał 16 lat. Podszedł do kobiety. Zaproponował seks. Roześmiała się. Dlaczego, skoro matka rozkładała nogi przed każdym? Uderzył kamieniem w głowę, wciągnął w bramę...

Sąsiedzi pamiętają: to był pies na baby. Choć myśleli: pies teoretyk. Gdzie dymu dużo, tam mało ognia. Leszek bardzo chciał się żenić. Proponował ślub zamiast kina. Często wystawał pod murami Domu Pomocy Społecznej dla dziewcząt niesprawnych intelektualnie w pobliskim Parchowcie.

Uwierzyć w wampiry



Foto: KRZYSZTOF OLEJNIK

– **Krzyczał, że potrzebuje kobiety – pamiętają samarytanki.**
– **Nie chodziło tylko o ruchanie – uważa znajomy sprzed lat. – Chciał razem gotować i spacerować pod rękę po wsi.**
Ktoś powiedział mu, że najlepsza żona to dmuchana lalka.
Nie wyśmiejcie.
Nie zdradzi. Zawsze gotowa. Zbierał pieniądze. Przekazał krewniakowi.
– **Kup – poprosił.**

Ale pieniądze rozeszły się na pilniejsze wydatki.

W lutym 1984 r. Ewa P. zakończyła robotę w rozdzielnii PKP. Po dziesiątej wieczorem wracała do hotelu robotniczego. Dostała kamieniem w tył głowy. Pękalski miał 18 lat.

W grudniu tego samego roku też w Toruniu późnym wieczorem wracała z pracy Teresa L. Przed domem ktoś uderzył ją w tył głowy. Dusił. Gdy straciła przytomność, zgwałcił, a zwłoki zmasakrował. Ukradł kożuch.

Znów Toruń. Listopadową noc 1985 r. Anna J. spędziła w klubie. Szła na przystanek, gdy ktoś ją zaatakował, ogłuszył, zgwałcił. Ciało wrzucił do stawu. Zginął skórzany płaszcz, w który ubrana była ofiara.

Pękalski przyznał się do tych zbrodni. Milicja skłonna była przypisać mu jeszcze jedną. Chodziło o słuchaczkę studium dla wychowawczyń przedшкоlnych. Wsiadła w Toruniu do pociągu jadącego do Solca Kujawskiego. Po jakimś czasie nad Wisłą znaleziono jej torbę z dowodem osobistym.

Zgwałcił Bernadettę

Zlikwidowano pegeery. Bezrobotnym wypłacono parę groszy na otarcie łez. W Borzytuchomiu wyrósł las anten satelitarnych. Mało kto ze zwolnionych pomyślał, żeby za te pieniądze kupić łopatę i posiać pietruszkę.

– Będzie trzeba ziemniaków, to się ukopie na państwowym – kombinowali ludzie, choć ziemia na ich oczach zamieniała się w ugory.

Sylwia miała 17 lat. Praktykowała w spożywczaku w Bytowie. Leszka dzielił od wybranki 9-kilometrowy spacer. Przychodził i wodził za dziewczyną maślanymi oczami. Co niby miał robić? Dawała mu jedzenie, żeby się nie zmarnowało.

27 czerwca 1991 r. rodzice znaleźli ciało zgwałconej i zamordowanej dziewczyny. Szok. W dużych miastach zdarzają się takie rzeczy. Ale tutaj? Pewnie wampir ze świata.

Tydzień po śmierci Sylwii połąną drogą w pobliżu Osieka dreptała Bernadetta. Miała 40 lat.

– Zauważyłam, że idzie z mną mężczyzna. Odwróciłam się. Zapytałam, czego chce – wyjaśniała funkcjonariuszom.

– Zamorduję cię – powiedział bez emocji.

Zaciągnął w zboże, brutalnie zgwałcił.

– Gdyby znalazł w polu jakiś kamień, pewnie bym nie żyła – mówiła poszkodowana.

Kobieta zapamiętała twarz gwałciela.

– Głupek z wioski – zdumiała się milicja.

Szybko przygotowano akt oskarżenia. Sąd nie miał wątpliwości. Wyrok był jednak łagodny. Więzienie w zawieszeniu. Bo jakie jest prawdopodobieństwo, że takie coś jak Leszek znów siłą weźmie kobietę?

Kalkulacja okazała się trafna z innych przyczyn, niż przyjęte przez sąd.

Nie zabił 16 pań

Sekretarka w prokuraturze, przeliczając akta gwałciela z Osieka, zapytała: – Może on zabijał?

W 1992 r. powiązano Pękalskiego ze śmiercią Sylwii.

Przesłuchanie. Przyznał, że znał dziewczynę. Podobała mu się. Ale nie odważył się zaproponować chodzenia. Czy zabił, aby odbyć stosunek? Jasne. Trafiony, zatopiony.

Może więc zabił inne kobiety? Zła milicja przegapiła. Dobra policja wytropiła. Witajcie w nowej Polsce! Hurtowe wyjaśnienie wszystkich niewyjaśnionych zbrodni to wielkie szczęście dla organów ścigania. Ile nagród łyknęło. Ile awansów.

Leszek chętnie uczestniczył w wizjach lokalnych, bo dostawał lepszy obiad. Zwykle jadł dwie porcje. Nareszcie był kimś. Nareszcie się z nim liczone.

Śledczy łykali wszystko.

– Jest za dużo makabrycznych szczegółów, aby to był wytwór fantazji – przekonywali i dzielili się sukcesem z mediami.

– Hurtownik zbrodni – pisały gazety. – Król.

Prokuratura uznała, że zabił 17 kobiet. W 1996 r. sprawa trafiła na wókanę.

W oskarżeniu był błąd na błędzie. Z nagrań wizji lokalnych wynikało, że policja podpowiadała zbrodniarzowi, w którą stronę musi iść, żeby zabić. Gdzie ukrył zwłoki.

Którąś z kobiet zabito młotkiem.

– Pękalski wiedział o tym. To dowód, że zabił – utrzymywali śledczy.

Sąd dopatrzył się, że nie zapytano go, czym się posłużył. Tylko wręczono mu młotek.

Albo zdjęcia. Świadkowie rozpoznali Pękalskiego! Ale nie mieli wyboru. Kilkunastu fotografii, z których wybierali właściwą. Pokazali im jedynie zdjęcie Pękalskiego.

– Ten?

Jasne.

Owszem, istnieje zeznania uprawdopodobniające czyny. Choćby nauczycielki z zawodówki w Słupsku. Zapamiętała, że jak jechali na wycieczkę do Warszawy, Leszek poprosił, aby obudzić go w Toruniu. Bo kocha to miasto. Zamierzał tam pracować po szkole.

Pociąg nie kursuje

Jak funkcjonuje człowiek, który przesiedział 25 lat?

W słynnej aferze parówkowej z lat 60., mającej wyjaśnić brak wędlin na sklepowych półkach, przewodyr dostał karę śmierci, a czterech dyrektorów zakładów mięsnych dożywotnie więzienia.

Lech Szeptycki mieszkał na klatce z jednym z nich, ojcem znanej piosenkarki.

– **Jak wyszedł, nie poznał świata – opowiada.**
– **Zastał w szarym domu szarą, starą, zrezygnowaną żonę. Dorosłe dzieci, których właściwie nie znał, gdzie się porozjeżdżały. Żadnego kontaktu ze środowiskiem zawodowym, żadnych kolegów. Cieszył się tą wolnością przez 2 tygodnie, może miesiąc. Zmarł ze gryzoty we własnym łóżku.**

Pękalski nie miał własnego łóżka. A wuj zapowiedział, że nie wpuści go do domu. Nigdy nie pracował. I nie uczył tej sztuki w zakładach karnych. Zresztą po co mu wolność, skoro ostatni pociąg pasażerski na linii Korzybie–Bytów odjechał 1 sierpnia 1991 r.

„Jeden z najgroźniejszych przestępców w Polsce” – nie ma wątpliwości „Gazeta Wyborcza”. Jeden z najgroźniejszych, choć udowodniono mu jedną tylko zbrodnię.

Gazeta opiera się na intuicji red. Magdaleny Omiljanowicz. Przeprowadziła dziennikarskie śledztwo, którego wyniki opisała w wydanej właśnie książce. Wyszło jej, że Pękalski jest winien więcej niż tylko zabójstwa Sylwii. „Obstaje, że zabił co najmniej kilka osób” – twierdzi dziennikarka.

W trakcie procesu okazało się, że nie mógł popełnić którejś zbrodni, bo był w szpitalu. Dla mediów to dowód na nic. Przecież ze szpitala można uciec. „Ważne jest też to, że do dziś nie znaleziono innych sprawców zbrodni, do których Pękalski się przyznał...”

Wiadomo, co powie minister Zbigniew Ziobro, jeśli Pękalski wyjdzie na wolność. Właśnie jeśli znów coś zmaluje. Wiadomo, co się stało, gdy gwałciela wypuszczono na przepustkę w celu leczenia, a on znów zgwałcił. Spadną głowy dyrektorów aresztu śledczego, może sędziów.

Klimat mamy taki, że wszyscy wolą dmuchać na zimne. Argumenty, że zbrodniarze, którzy odsiedzieli karę, nie mogą zostać pozbawieni wszystkich praw, są dobre dla prof. Moniki Piatek.

Będzie żył wygodnie

Pamiętacie Mariusza Trynkiewicza, szatana z Piotrkowa? Nauczyciel wychowania fizycznego. Najpierw wykorzystywał chłopców seksualnie, potem również zabijał. Wyprawił do Bozi czterech. „Sadyzm, realizowanie popędu płciowego w połączeniu z cechami algolagii” – orzekli biegli. 25 lat pozbawienia wolności.

Poddano go przymusowej terapii zaburzeń seksualnych, ale dopiero od 2011 r.

Gdy na początku 2014 r. kończył odbywać karę, również wybuchła wokół niego ogólnonarodowa histeria.

Ktoś zauważył, że za krótkami wertował pornografię dziecięcą. Ale do zamknięcia w więzieniu za niewłaściwy dobór lektur potrzebny był nowy wyrok skazujący. Czyli czas.

Wyszedł na wolność 11 lutego 2014 r. Prawo zmieniono tak, aby po odbyciu kary można było go izolować dalej. Na podstawie tzw. ustawy o bestiach 3 marca 2014 r. trafił do utworzonego z myślą o takich jak on Krajowego Ośrodka Zapobiegania Zachowaniom Dysocjalnym w Gostyninie.

W lipcu 2015 r. Sąd Rejonowy w Gostyninie prawomocnie skazał go na 5,5 roku więzienia za pornografię. Wyrok zawieszono do czasu zakończenia pobytu w ośrodku. Bo osądzenie w Gostyninie nie jest dożywotnie. Przynajmniej teoretycznie sąd co pół roku podejmuje decyzję o dalszej izolacji.

Z Pękalskim będzie tak samo. Zanim skończy odbywać karę za Sylwię, może uda się przykleić mu jedno z morderstw, do których tak ochoczo się przyznał. Od kilku miesięcy gdańskie „Archiwum X” oraz prokurator wertują stare akta. Do czasu wyroku w tej nowej sprawie zamieszka z Trynkiewiczem.

Będziemy wieszać

PiS ma pomysł na wszystko. Na Trynkiewiczów i Pękalskich. I wcale nie chodzi o reformę programów terapeutycznych stosowanych w zakładach zamkniętych. Choć jest na ten temat solidne opracowanie Instytutu Wymiaru Sprawiedliwości, czyli jednostki naukowej Ministerstwa Sprawiedliwości, z którego wynika, że to wielka ściema. Nie chodzi też o stworzenie sensownego wsparcia dla osób opuszczających zakłady karne.

Na konferencji prasowej w listopadzie 2016 r. Jarosław Kaczyński zapowiedział przywrócenie kary śmierci.

BOŻENA DUNAT

bdunat@redakcja.nie.com.pl

Krucjata Różańcowa modli się w intencji wypędzenia Szatana z Teatru Powszechnego, ale nigdy nie modliła się o zaprzestanie deprawacji małoletnich przez księży. Okazuje się, że użycie krzyża w pracy artystycznej może obrazić uczucia religijne, a bezkarność pedofila w sutannie niczych uczuć religijnych nie obraża. Okazuje się także, że jak skandal potrzebny jest sztuce, tak skandalizująca sztuka potrzebna jest prawicowym politykom do autopromocji.

Bóle w krzyżu

Historia obrażania uczuć religijnych w Polsce po 1989 r.

„Kardynał/Wieczerza”, Galeria Dziekanka, 1991 r.

Gdyby szukać miejsca, gdzie zaczęto „błuźnić” przeciwko Kościołowi i religii katolickiej, trzeba by wskazać małą galerię Dziekanka w akademiku Akademii Sztuk Plastycznych przy Krakowskim Przedmieściu w Warszawie. W 1991 r. w ramach zajęć ze studentami Wydziału Rzeźby prof. Grzegorz Kowalski, rzeźbiarz i performer, realizował projekt „Kardynał”. Studenci mieli stworzyć kostium hierarchy Kościoła katolickiego. W odpowiedzi na zadanie jeden ze studentów w akwariu wypełnionym żółtą cieczą mającą symbolizować mocz puszczał odwrócone piuski jak łódeczki. Inny wykonał performance – wkroczył do galerii nago, potem posmarował się łojem, by przykleić na ciało kartki wyrwane z Biblii. W drugiej części galerii w tym samym czasie prof. Kowalski realizował „Ostatnią wieczerzę”. Ustawił długi stół, położył na nim chleb, wino – i zasiadł za nim wraz ze studentami. Jedną ze studentek, z pomalowaną na białą skórą, przebraną w białą szatę i ze słuchawkami na uszach



zajęła miejsce Chrystusa, zmieniając jego płeć. Od widzów oddzielała biesiadników druciana siatka. To był czas, gdy zdecydowano o wprowadzeniu do szkół religii, powołano ordynariat polowy z abepe Głódziem na czele, Radio Maryja rozpoczęło nadawanie – Kościół zaczął odcinać kupony od swojego zaangażowania

w przemianę PRL w III RP. Obie realizacje w Dziekance były wydarzeniami czysto środowiskowymi i nie wywołały żadnych reakcji, ponieważ nikt poza studentami i profesorami ASP o nich nie słyszał ani ich nie oglądał. Ale to studenci Kowalskiego stali się potem powszechnie znanymi „błuźnierzami”.

„Pasja”, Dorota Nieznalska, 2001

Pomysł posła Tomczaka, aby promować się za pomocą sztuki współczesnej, wykorzystała niespełna kilka miesięcy później dwójka także nieznanymi nikomu posłów LPR – Gertruda Szumska i Robert Strąk. Na podstawie migawki w TVN i doniesień lokalnej gazety złożyli o zadecydowanie do prokuratury o obrazę uczuć religijnych przez szerzej wówczas nieznaną 28-letnią artystkę Dorotę Nieznalską. Chodziło o pracę wystawianą w małej galerii Wyspa w Gdańsku. Nieznalska pokazała tam instalację zatytułowaną „Pasja”, na którą składał się film wideo pokazujący ćwiczących w siłowni mężczyzn oraz instalacji w postaci równoramiennego krzyża z nalepionym zdjęciem męskich genitaliów. Słowo „pasja” zostało użyte w podwójnym znaczeniu, a krzyż jako symbol cierpienia miał mówić o popkulturze modzie na katowanie ciała treningami. Co ciekawe, obrażenia w swych uczuciach posłowie nie widzieli wystawy, gdyż zetknęli się z informacją w mediach z notatką o niej już po jej zamknięciu. Proces sądowy – prokurator sformułował zarzuty – trwał do roku 2010. Sąd pierwszej instancji skazał artystkę na pół roku prac społecznych, sąd kolejnej ją uniewinnił. Rozprawy toczyły się pod ostrzałem



mediów ojca Rydzyskiego, który przed każdą kolejną mobilizacją słuchaczy i czytelników do przybywania na salę sądową. Na korytarzach gdańskiego sądu rozbrzmiewały słowa pieśni kościelnych na zmianę z okrzykami: „Szmata!”, „Precz do Tel Awiwu!”. Mimo uciążliwych perturbacji afera uczyniła Nieznalską

popularną, odbywa ona indywidualne wystawy, otrzymuje liczne stypendia zagraniczne, jej prace pozyskują muzea i galerie. Ucierpiała galeria Wyspa, gdyż Senat Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku, do którego galeria należała, po interwencji posłów LPR podjął decyzję o jej zamknięciu po 17 latach działania.



„Golgota picnic”, Rodrigo Garcia, 2014

Prawdziwa afera wybuchła na kilka dni przed poznańskim Festiwałem Teatralnym Malta. Przygotowywano nań do wystawienia sztukę mieszkającego w Hiszpanii argentyńskiego dramaturga Rodriga Garcii „Golgota picnic”. Sztuka – mająca być krytyką konsumpcyjnego społeczeństwa – opiera się dekonstrukcji postaci Jezusa. Są w nim sceny, w których Jezus wisi na krzyżu ułożonym z kanistrów po benzynie albo tarza się w stosie hamburgerów. Jest także scena, jak jeden z aktorów wkłada zwitek banknotów w „ranę” aktora odgrywającego Jezusa. Przez cały spektakl na pianinie gra naga artystka. Dyrekcja Malty kilka dni przed spektaklem odwołała przedstawienie. Powodem były – anonimowe w większości – listy wysyłane do dyrektora festiwalu Michała Merczyńskiego. Listów podobno wysłano 36 tys. Za wysyłką miało stać katolickie Stowarzyszenie im. Piotra Skargi z Krakowa, specjalizujące się w wysyłaniu na domowe adresy w całej Polsce medalików, obrazków i książeczek o tematyce religijnej wraz z prośbą o wpłaty na rzecz stowarzyszenia. Listy dostali poznańscy radni, prezydent Poznania, a nawet ówczesny premier Donald Tusk. List otwarty do poznańskiego festiwalu Malta wystosował abp Stanisław Gądecki, przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski, oraz bp Wiesław Mering, który w episkopacie odpowiedzialny jest za kulturę. Krucjata

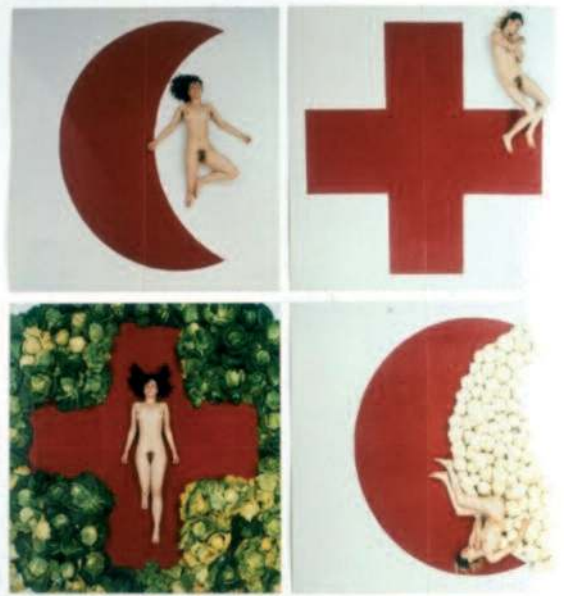
Różańcowa zapowiedziała blokadę festiwalu. Ale to dopiero odwołanie spektaklu na Malcie dało napęd fali protestów. Tekst wydrukowała „Gazeta Wyborcza”. W teatrach całej Polski aktorzy w geście solidarności organizowali spektakle mówione, ze sceny odczytywano tekst sztuki. Wszędzie, gdzie czytano tekst dramatu Garcii, odbyły się protesty, modły i blokady teatrów. W Teatrze Starym na czytanie „Golgoty” wpuszczano za imiennymi zaproszeniami i sprawdzano przed wejściem dowody tożsamości w obawie przed prowokatorami. Przed budynkiem zgromadziła się rekordowa liczba protestujących – 500 osób. Prokuratura w niemal całym kraju – we Wrocławiu, Bydgoszczy, Wałbrzychu – została powiadomiona m.in. przez Ogólnopolski Komitet Obrony przed Sektami i Przemocą, Krucjatę Różańcowa o możliwości popełnienia przestępstwa, prowadziły postępowania w tej sprawie, ale po kilku miesiącach je umarzały. Ikoną protestów i bohaterką środowisk Radia Maryja została licealistka z Gdańska Maria Kołakowska, córka miejscowej radnej PiS. Marysia wtargnęła do Piwnicy Krytyki Politycznej, gdy odbywało się czytanie scenariusza spektaklu i rozpyliła śmierdzącą substancję. Sąd skazał ją za ten czyn na 40 godzin prac społecznych. Sprawa spektaklu „Golgota picnic” została już zapomniana. Teraz panuje „Kłątwa”.

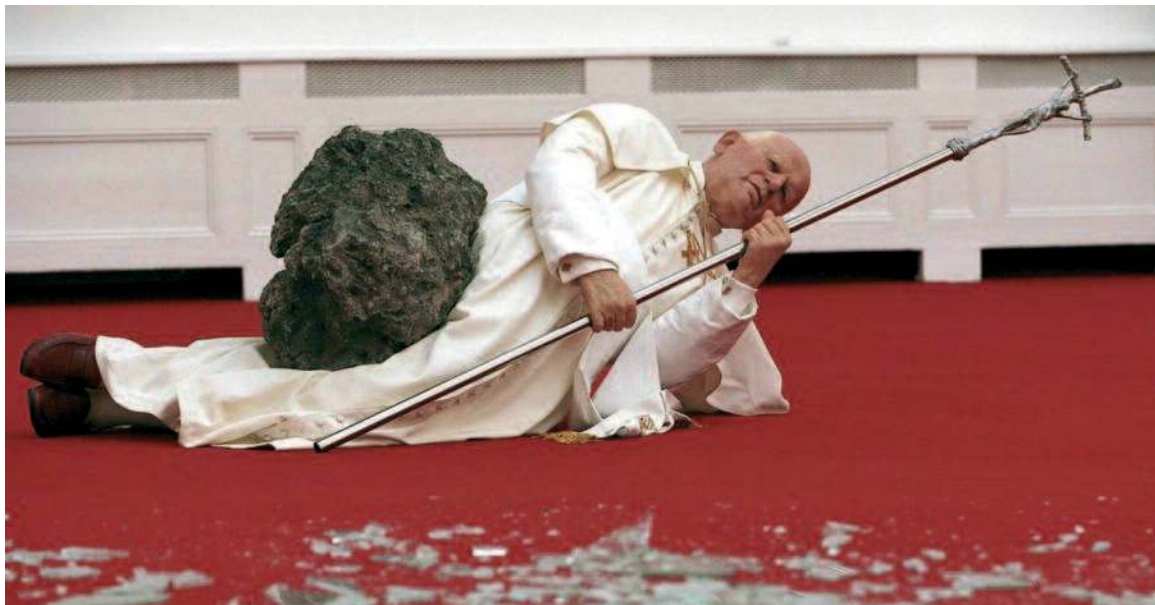
„Więzy krwi”, Katarzyna Kozyra, 1999

Chronologicznie rzecz biorąc, pierwszą poważną burzę w środowiskach prawicowo-kościelnych wywołała inna studentka prof. Kowalskiego – Katarzyna Kozyra – pracą „Więzy krwi”. Praca powstała na dużą wystawę w połowie lat 90. w Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski mającą być prezentacją nowych tendencji w sztuce. Jednak „Więzy...” na prawdziwą sławę musiały poczekać kilka lat. W 1999 r. praca Kozyry została umieszczona na billboardach firmy AMS, zajmującej się umieszczaniem reklam wielkoformatowych na ulicach miast w całej Polsce. AMS, wchodząc dopiero na rynek, zdecydowała się poświęcić część swoich tablic na prezentację sztuki współczesnej. „Więzy krwi” to były 4 wielkie fotogramy, na których oprócz znaku religijnego – półksiężyca lub równoramiennego krzyża – została umieszczona okaleczona

lub wycięczona naga kobieta. Kozyra tłumaczyła, że inspiracją do powstania pracy była tocząca się w owym czasie wojna na Bałkanach, a znaki półksiężyca i krzyża symbolizują zarówno dwie religie, jak i dwie organizacje humanitarne niosące pomoc. Billboardy spotkały się z protestami. Nie były to jednak masowe protesty środowisk katolickich ani modlących się oburzonych wiernych, ale władz kościelnych i samorządowych. Pracę skrytykował bp Tadeusz Pieronek, przewodniczący Kościelnej Komisji Konkordatowej, mówiąc, że to prowokacja wykorzystująca symbole religijne, które do prowokacji się nie nadają. Przeciwno Kozyrze wystąpili posłowie rządzącej wówczas AWS: Antoni Szymański (zwrócił się nawet o wsparcie do ambasad krajów muzułmańskich, próbując udowodnić, że to nie jest histeria wyłącznie katolicka, jed-

nak dostał odpowiedzi, że prace nie obrażają uczuć muzułmanów, a nawet im się podobają) i Czesław Nowak (ten dopatrzył się w pracy wątków satanistycznych). Protestował prezydent Gdańska Paweł Adamowicz, twierdząc, że tego rodzaju twórczość nie nadaje się do publicznej prezentacji i obraża jego godność. (Swoją drogą Adamowicz jest dzisiaj w PO i zaprasza do osiedlenia się w Gdańsku uchodźców z Syrii). W Gdańsku zresztą za sprawą niechęci władz fotogramy się nie pojawiły. Podobnie w Poznaniu, gdzie interweniował bp Marek Jędraszewski, mówiąc, że praca Kozyry to profanacja. Koronnym argumentem przeciwko „Więzom krwi” na ulicach była wizyta papieża Jana Pawła II, który, przejeżdżając papamobile ulicami, miałby się na nie natknąć i mogłoby mu być przykro. Po protestach tych firma AMS zdecydowała się sama ocenzurować i zalepiła białym papierem te plakaty, które już wisiały na ulicach.





„La Nona Ora” („Dziewiąta godzina”), Maurizio Cattelan, 2000

Ocenizować własnej wystawy nie chciała Anda Rottenberg, ówczesna dyrektorka Narodowej Galerii Sztuki Zachęta, która w 2000 r. obchodziła 100-lecie. Ukoronowaniem jubileuszu miała być wystawa, której kuratorem został Szwajcar Harald Szeemann, jeden z najbardziej cenionych i wybitnych kuratorów sztuki. To on uznał, że opowiadanie o Polsce poprzez sztukę współczesną nie może się obyć bez postaci Jana Pawła II. On też zaproponował hiperrealistyczną rzeźbę mieszkającego w Nowym Jorku włoskiego artysty Maurizia Cattelana „La Nona Ora”, która przedstawia postać papieża przygniecionej meteorytem. Tytuł dzieła nawiązywał zaś do godziny śmierci Chrystusa na krzyżu. Rzeźba wcześniej pokazywana była w Londynie, gdzie nie wzbudziła większych emocji. Ale aby ubiec ewentualny skandal – wszak Warszawa to nie Londyn – poproszono ks. Wiesława Niewęgłowskiego, duszpasterza środowisk twórczych, aby dokonał kościelnej egzegezy dzieła. Ks. Niewęgłowski się wywiązał, porównując dzieło do stacji Drogi Krzyżowej. Albo w bogoojczyńskiej Polsce zabiegi te nie wystarczyły, albo już dotarło do posłów prawicy z tylnych szeregów, że skandal związany z wydarzeniem artystycznym poniesie medialnie także ich nazwisko. Najpierw jednak wpadł do Zachęty Wojciech Cejrowski z białym płótnem, aby zakryć figurę papieża. Działanie to było

obliczone na promocję Cejrowskiego, gdyż w galerii zjawił się nie spontanicznie, ale z ekipą telewizyjną. 2 dni po Cejrowskim do Zachęty wparował nikomu wówczas nieznany poseł Witold Tomczak (AWS) i próbował przesunąć kilkudziesięciokilowy kamień przyniatający figurę papieża. Myślał biedak, że to meteoryt wykonany ze styropianu albo papier-mâché. Przy okazji uszkodził rzeźbę. Politykowi towarzyszyła ekipa „SuperExpressu”, była to więc także ewidentna ustawka obliczona na uzyskanie rozgłosu. Ustawka się opłaciła, bo Tomczak w kolejnej kadencji został ponownie posłem z LPR, a następnie europosem z tego ugrupowania. Sprawa sądowa o uszkodzenie rzeźby toczyła się 16 lat. Sąd warunkowo umorzył ją na okres roku próby, uznając małą społeczną szkodliwość czynu. Jedyne karę poniosła Anda Rottenberg. Tomczak słał listy wypominające jej żydowskie pochodzenie, w których zachęcał jednocześnie, aby swoje pomysły realizowała w Izraelu. Listy Tomczaka wywołały prawdziwą antysemitkę nagonkę na Rottenberg (listy, które przychodziły na adres Zachęty, zawierały m.in. takie wezwania: „Hańba tobie, beczelna żydów”). Za odwołaniem Rottenberg z posady podpisało się 91 posłów, w tym Jarosław Kaczyński i Antoni Macierewicz. Domagali się cofnięcia dotacji budżetowej dla Zachęty. W takiej atmosferze Rottenberg podała się do dymisji.

„Adoracja Chrystusa”, Jacek Markiewicz, 2013

Jednym ze studentów prof. Kowalskiego był Jacek Markiewicz, a jego praca dyplomowa obroniona w 1993 r. nosiła nazwę „Adoracja Chrystusa”. Na filmie zarejestrowanym kamerą wideo artysta w miłosno-religijnym uniesieniu pięci krucyfiks użył mu ze zbiorów Galerii Sztuki Sredniowiecznej Muzeum Narodowego. Markiewicz twierdził, że to praca głęboko religijna o prawdziwym uwielbieniu Boga. Za-inspirować miał go widok ludzi modlących się w kościele do figur. Sam był wcześniej wierzącym zielonoświątkowcem. Film był wielokrotnie prezentowany w galeriach polskich i zagranicznych i nie wywołał szerszego zainteresowania ani tym bardziej skandalu. Spokój był do czasu pokazania go w Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski w Warszawie w 2013 r. w ramach wystawy „British British Polish Polish: sztuka krańca Europy w latach 90.”, zatem po 20 latach od powstania pracy. Zrobiła się awantura na całą Polskę. Zaprotestował poseł PiS Andrzej Jaworski, który, nie mając silnej pozycji w partii, w Sejmie założył Parlamentarny Zespół ds. Przeciwdziałania Ateizacji Polski i szukał protektora w osobie ojca Tadeusza Rydzka. Posłowie PiS Anna Sobecka i Stani-

slaw Pięta zawiadomili prokuraturę. Pikietę (około 100 osób), którą na żywo transmitowała Telewizja Trwam, zorganizował Rydzka. Kilka dni w sali, w której eksponowano pracę Markiewicza, trwał kilkunastoosobowy modlitewny protest Krucjaty Różańcowej. Jeden z jej uczestników spryskał sprayem projektor, z którego wyświetlano film, a ścianę, na którą rzutowany był obraz, oblał czerwoną farbą. Głos oburzenia wydali: przewodniczący Episkopatu Polski abp Józef Michalik, bp wrocławski Wiesław Mering oraz metropolita warszawski abp Kazimierz Nycz. Po kilku miesiącach Prokuratura Rejonowa Warszawa-Śródmieście umorzyła dochodzenie w sprawie „Adoracji Chrystusa”. Pomimo umorzenia było to jednak pierwsze rozpoznanie bojem przez prawicowo-kościelne środowiska, do czego można się posunąć. Przy okazji tego wydarzenia poseł Pięta popisał się na Twitterze jedną ze swoich błyskotliwych myśli: „Dobrze mnie posłuchajcie, czerwone zgniłki, róbcie tak dalej, a przyjdzie taki dzień, w którym ja przyjdę po was”. Wypadałoby zapytać: Skoro poseł Pięta nadal jest posłem Pięta, a jego formacja sprawuje pełnię władzy – czy ten dzień właśnie nastąpi?



„Piss Christ” („Moczowy Chrystus”), Andres Serrano, 1994

W obawie przed zadymą kościelno-prawicową autocenzura zawsze towarzyszyła dyrektorom galerii i kuratorom wystaw. Niewiele brakowało, a Polacy mieliby szansę oglądać w CSW najślynniejszą bluźnierczą pracę artystyczną XX wieku. Andres Serrano to światowej sławy amerykański fotografik. Dzieła Serrano są piękne; charakteryzuje je niezwykłość barw, przywołująca na myśl malarstwo, a nie fotografię. Niecodziennosc kolorów Serrano uzyskuje, zanurzając fotografowane obiekty w moczu. Tak powstała jego najślynniejsza praca „Piss Christ” z 1987 r. – plastikowy krucyfiks zanurzony w naczyniu z moczem artysty – dzisiaj już niewątpliwa ikona sztuki współczesnej pokazywana w ga-

leriach i muzeach całego świata. W 1999 r. fotografię wyceniono na 277 tys. dolarów. Praca oczywiście wzbudzała na świecie wiele kontrowersji, protestów przed galeriami, wielokrotnie próbowano ją uszkodzić. Wystawę prac fotograficznych Serrano zorganizowano w Warszawie w 1994 r. we współpracy z Kunsthalle w Wiedniu i galeriami w Bregenz i Lublanie. Miało pokazać wybór fotografii, w tym „Piss Christ”. Ówczesny dyrektor CSW Wojciech Krukowski, notabene związany wcześniej z warszawską ASP i Galerią Dziekanka, nie zgodził się na eksponowanie tej jednej fotografii. Skandalu nie było. Kuratorka wystawy Milada Śliżińska dostała naganę na piśmie za „próbę dyskusji”.

Pokaz mody, Maciej Zień, 2013

Odwrotnie od Żmijewskiego postąpił projektant mody Maciej Zień, przenosząc sferę profanum w sferę sacrum. Zień urządził pokaz mody, czyniąc wybieg dla modelek w nawie głównej kościoła pw. św. Augustyna w Warszawie. Co prawda tygodnik katolicki „Niedziela” nazwał wydarzenie profanacją, a księża pracujący w parafii św. Augustyna wraz z Kurią Warszawską wyrazili „ubolewanie, iż doszło do tego rodzaju wydarzenia, przepraszają wszystkich, którzy mieli prawo poczuć się tym wydarzeniem urażeni oraz oświadczają, że zdecydowanie są przeciwni organizowaniu takich prezentacji w kościołach i innych miejscach sakralnych”, ale dziwić mogła reakcja niektórych osób z pogardzanej przez środowiska kościelno-prawicowe tzw. warszawki. Fotografik Marcin Tyszcza napisał na Facebooku, że usunął zdjęcia z pokazu, bo prosiły go o to modelki wstydzące się udziału, a znana blogerka modowa Ewa Wojciechowska napisała, że czuła się na pokazie dziwnie, bo kościół nie jest najlepszym miejscem dla takich prezentacji. Wydarzenie odnotowały oczywiście wszystkie serwisy plotkarskie, ale wielkiego skandalu nie było. Mogło się wydawać, że im dłużej jesteśmy w Europie, tym mniej jest u nas obskurantyzmu.



WALDEMAR KUCHANNY
wkuchanny@redakcja.nie.com.pl

Korzystałem z książki Karola Sienkiewicza „Zatańczą, ci, co drżeli”, Warszawa 2014.

„Msza”, Artur Żmijewski, 2011 r.

W 2011 r. Artur Żmijewski, artysta sztuk wizualnych – a jakże, z klasy prof. Kowalskiego – zrealizował spektakl „Msza”. Było to dokładne odwzorowanie mszy rzymskokatolickiej, tyle że nie w kościele, ale na deskach Teatru Dramatycznego w Warszawie, a w rolę kapłana wcielił się zawodowy aktor. Ubrany w ornat, odczytywał przy ustawionym ołtarzu kolejne modlitwy z lekcjonarza, a publiczności rozdawał opłatki z kielicha. Spektakl Żmijewskiego został przygotowany bez elementów krytyki, parodii, ironii, zgrywy, bo – jak podkreślał artysta – nie to było jego zamiarem. Pomysł, jak wspominał Żmijewski „Gazecie Wyborczej”, narodził się podczas żałoby narodowej po katastrofie smoleńskiej, gdy zamknięto teatry, a on zaczął się zastanawiać, czy teatr stracił swoją rolę jednoczenia wspólnoty i wyrażania jej uczuć. Inscenizacja nie wywołała szerszej dyskusji, a głosy oburzenia, które się oczywiście pojawiły,



nie były zbyt radykalne. Tomasz Terlikowski nazwał przedstawienie „sakralną wódką bezalkoholową”. Jednak

ani żaden z biskupów, ani środowiska katolickie, ani żaden poseł PiS nie zareagował.

Polski łobuz koncentracyjny

W niemieckich obozach jest coraz więcej polskości.

Najbardziej niebezpiecznym zdaniem, jakie można napisać w języku polskim – oprócz oczywiście „Ziobro to chuj” – jest sformułowanie „W polskich obozach koncentracyjnych nie było Holocaustu”. Zgodnie z ustawą o IPN dostać można za to do trzech lat mamra za negowanie zagłady Żydów. No i jeszcze będzie się ganianym po sądach za sugerowanie istnienia naszych własnych obozów śmierci. A przecież stwierdza się w ten sposób najprawdziwszą prawdę.

...

Podczas niedawnego pobytu w Oświęcimiu udało mi się po raz drugi odwiedzić teren tutejszego byłego obozu koncentracyjnego. Poprzednią wycieczkę – jeszcze z czasów szkoły podstawowej – wspominam bardzo miło. Nauczyłem się po niej opowiadać nauczycielkom, że mój dziadek zginął w Auschwitz. Gdy rzucały mi się na szyję ze współczuciem, dodawałem: „Spadł po pijaku z wieży wartowniczej”, no i na kopach wylatywałem za drzwi. Nie lepiej kończyły się dowcipy, że dziadek umarł pod Casino de Monte Carlo albo że był w czasie wojny elektrykiem – na ciuchach miał naszytą czaszkę i dwa pioruny.

Przewodniczka, która oprowadzała mnie tym razem po obozowych kątach, sugerowała kilkakrotnie, że władze PRL bardzo zaniedbywały nazistowskie pozostałości. Np. jeden z oglądanych baraków w 80 procentach składał się z polskich desek już dobrej, bo trzeciorzeczpospolitowej proveniencji. Tłumaczyła też, że większość stworzonych po czerwcu 1940 r. budynków obozowych (przed wojną mieściły się tu koszary polskiej armii) powstała z cegieł polskich domów rozebranych w ramach wysiedlania okolicy. Dodała także, że obóz budowany był głównie rękami polskich więźniów politycznych, których ściągnięto tu w pierwszej kolejności – bo przecież nie dłońmi nazistów, którzy choć byli źli, to zbyt pięknie się do takiej roboty ubierali.

...

Wszystkie te zebrane do kupy informacje – że obóz stworzono na terytorium Polski, głównie rękami Polaków, z polskich materiałów budowlanych – skłoniły mnie do wymnożenia, w jakim procencie – o ile to wyliczalne – obozy koncentracyjne powstałe na polskich ziemiach można uznać za nasze.

Fryderyk Chopin, choć poczęty siusiakiem francuskim, uznawany jest za grajka polskiego. Podobnie jak pa-



Czas mija,
a chętnych
wciąż wielu.

Fot. MICHAŁ MARSZAŁ

pież Jan Paweł II, który pozostał Polakiem, mimo że papieństwo to bardzo watykański wynalazek. O prawo do posiadania Mickiewicza biją się od lat Polacy, Litwini i Białorusini. Nawet Matka Boża Królowa Polski jest w istocie Żydówką. Problem narodowościowy nie dotyczy tylko osób, ale także rzeczy. Fiat 126p, mimo że robiony na włoskiej licencji, według ichniego konceptu inżynierskiego, powszechnie uznawany jest za polski automobil. Powstawał w fabrykach na terenie naszego kraju z wytworzonych u nas części, rękami polskiej klasy robotniczej. Niewiele różni się zatem od „polskich obozów zagłady” – tym bardziej że ludzie podróżujący maluchami też cierpieli katusze.

...

Rzecznik Muzeum Auschwitz-Birkenau Bartosz Bartyzel na pytanie o niemieckość odwiedzanej przez turystów ekspozycji odpowiedział: „Po wojnie byli więźniowie zdecydowali o rekonstrukcji kilku elementów obozowych, które wcześniej zostały zniszczone przez Niemców w ramach zacierania śladów zbrodni”. Wymienił m.in.: kulochwyty przy Ścianie Śmierci obok bloku 11, komin krematorium I, 2 piece krematorium I i zbiorową szubienicę na placu apelowym. Wspomniał także o odbudowaniu zniszczonego dachu w budynku tzw. sauny i rekonstrukcji niektórych wież strażniczych w Birkenau. Przy utrzymaniu obiektów – stwier-

dził – „starano się wykorzystywać, tam gdzie tylko było to możliwe, oryginalne zachowane elementy, jak w przypadku baraków drewnianych, których skala nie uprawnia do mówienia o rekonstruowaniu obiektów”. Wrażenie „tworzenia makiet” u osób postronnych rzecznik uznał za niezgodne z rzeczywistością. Choć przyznał, że słynny napis „Arbeit macht frei” na bramie wejściowej jest kopią.

Jakiś – nie wiadomo dokładnie jaki – odsetek polskości można chyba jednak temu, co widać, zarzucić.

...

Igor Hoffman, Asystent w Dziale Zarządzania Inwestycjami Muzeum Gross-Rosen w Rogoźnicy, wyliczył precyzyjnie, że 4,13 proc. wszystkich 121 obiektów historycznych znajdujących się na terenie placówki zostało utworzonych po 1945 r. „Muzeum Gross-Rosen w Rogoźnicy obejmuje cały, liczący 44,3381 ha teren byłego niemieckiego nazistowskiego obozu koncentracyjnego, łącznie z historycznym kamieniołomem – miejscem pracy i śmierci tysięcy więźniów” – napisał. „Na obszarze Muzeum znajduje się 121 historycznych obiektów poobozowych, w zdecydowanej większości destruktyw budowlanych. Głównie dlatego, że Muzeum utworzone zostało dopiero w 1983 roku, a więc 38 lat po zakończeniu II wojny światowej. Po 1945 roku na terenie Mu-

zeum postawiono: ufundowany przez państwo polskie Pomnik Mauzoleum; rzeźbę upamiętnienie przed bramą główną, nadbudówkę nad historycznym kasynem SS stanowiącą główny budynek ekspozycyjny Muzeum; rekonstrukcję jednego więziennickiego baraku mieszkalnego (z 36 nie ocalał żaden – pozostały tylko fundamenty); rekonstrukcję jednej wieży strażniczej (z 20 wież strażniczych nie ocalała żadna – pozostały tylko fundamenty)”.

Na 30 proc. zbioru dr Danuta Drywa, Kierownik Działu Dokumentacyjnego Muzeum Stutthof, wyliczyła muzealia wytworzone po 1945 r. – przede wszystkim twórczość artystyczną, jak malarstwo o tematyce martyrologicznej, rzeźby, grafiki i numizmaty.

...

Zarządcy terenów byłych obozów unikają jak ognia wszelkich konotacji z polskością. Strony internetowe wszystkich muzeów tych miejsc martyrologii są rejestrowane w innych domenach niż polska. Auschwitz i Stutthof korzystają z domeny „.org”, „Gross-Rosen” z „.eu”, podobnie jak Majdanek i Chełmno. Widocznie wstyd nawet ogłaszać się polskimi muzeami byłych niemieckich obozów koncentracyjnych – chociaż muzea są już bezapelacyjnie polskie. A przecież wojnę o pamięć można by toczyć, rejestrując strony obozowe w domenach „.de”.

Prawicowe media i polskie MSZ co jakiś czas pastwią się nad kolejnym zagranicznym dziennikarzem, który użył terminu „polskie obozy koncentracyjne”. Niemal zawsze wynika to z roztargnienia redaktora lub stosowania przez niego skrótów myślowych. Niemieckie „polnische” czy angielskie „Polish” sugerować mogą bowiem znajdowanie się obozów na terytorium Polski, niekoniecznie wymyślenie i zarządzanie nimi przez Polaków. Większość przypływających na gaffe solennie przepasza. Tak jak Barack Obama, który w maju 2012 r. podczas wygłaszania laudacji na cześć Jana Karskiego użył sformułowania „polskie obozy śmierci”. Zaprawdę trudno było zarzucić prezydentowi USA sympatie esesmańskie, mimo że ma bardzo obozowe imię.

Zbigniew Ziobro zapowiedział pod koniec stycznia, że prace nad ministerialnym projektem ścigającym karnie i cywilnie autorów słów „polskie obozy koncentracyjne” są już na ukończeniu. Zgodnie z nowymi przepisami ustawy o IPN pierdel może grozić osobom, które publicznie i wbrew faktom przypisują narodowi polskiemu udział, organizowanie, odpowiedzialność lub współodpowiedzialność za popełnienie zbrodni przez III Rzeszę niemiecką. Sprawcy pomówień podlegaliby karze grzywny

lub pozbawienia wolności do 3 lat, a ci, którzy dokonali takiego czynu nieumyślnie – karze grzywny lub ograniczenia wolności. Wyroki mają być podawane do wiadomości publicznej.

...

Filozof John Stuart Mill w słynnym esej „O wolności” pisał, że nawet jeśli opinia przyjęta na jakiś temat jest całkowicie prawdziwa, to bez nieustannego wystawiania na krytykę staje się dogmatem wyznawanym przez większość jak przesąd, bez głębokiego zrozumienia i odczucia uzasadnienia. Z czasem oddziaływanie takiej zdogmatyzowanej doktryny na prawdziwe życie zanika, oraz ona wpływa na postępowanie i charakter ludzi. Dobrze więc, że temat polskości obozów koncentracyjnych (a nawet negowania Holocaustu) co jakiś czas mimowolnie wraca i jest okazją do przypomnienia, jakie niegdyś ludzie byli w stanie robić sobie kukę.

A gdyby ten argument nie wystarczał, to

**można być pewnym,
że żaden nawet
ćwierćinteligent
z Zachodu nie uwierzy,
że Polacy byłiby w stanie
stworzyć obóz zagłady.
Nie dlatego, że nie chcą
– ale że nie potrafią.**

Pod koniec życia Piłsudskiego w Berezie Kartuskiej stworzono obóz koncentracyjny dla więźniów politycznych. Przetrwał 5 lat, po napadzie Związku Radzieckiego na Polskę strażnicy dali z niego dyla do lasu. Dzienna norma żywieniowa na osadzonego wynosiła tam ponoć 4000 kcal – tyle w Auschwitz było chyba na cały obóz i to przez całą wojnę. W barakach Oświęcimia nic się poza tym nie marnowało – z ludzkich włosów tkano nawet skarpety dla załóg łodzi podwodnych. A w polskim obozie śmierci pijani strażnicy przepuszczaliby więźniów przez dziury w płocie, pies zamiast gryźć dawałby się głaskać, lekarze by jednak leczyli, chociaż byłoby do nich kolejki, a przetarg na piec do krematorium rozstrzygano by przez 3 lata – aby w końcu skazać niewłaściwych urzędników za łapówki.

Do czynienia zła na masową skalę potrzebne są: doskonała organizacja, wytrwałość, inicjatywa, odwaga, wyobraźnia. Polacy udowodnili, że potrafili najwyżej spalić 300 osób w oblanej naftą stodole. I jeszcze twierdzić, że tamci wymordowali się sami.

MICHAŁ MARSZAŁ
michal@redakcja.nie.com.pl

Wieści gminne i inne

■ Polskę obiegła tragiczna wiadomość ze Strzelnik pod Brzegiem, gdzie 300-kilogramowa świnka rzucała się na śpiącą 84-letnią staruszkę. Ciężko poraniona kobieta zmarła w szpitalu. Była ona obłożnie chora. Nad ranem świnka weszła do pokoju i zaczęła ją gryźć. Krzyków staruszki nie usłyszał śpiący w pokoju obok syn. Policja bada, czy przypadkiem ktoś nie zrobił świństwa i nie pomógł świni dostać się do domu.

■ Ofiarą dobrego wychowania i kultury padł policjant z Zamościa. Będący po służbie funkcjonariusz odwiedził jeden z lokali na zamojskim Starym Mieście. Musiał pójść do toalety. Stał w kolejce. W pewnej chwili przepuścił do ubikacji jedną z bawiących się w lokalu kobiet. Bardzo się to nie spodobało stojącym w kolejce panom, którzy pobili dżentelmena. Policjant w momencie bójki był pijany (2,5 promila) i złożył zeznania dopiero po wytrzeźwieniu następnego dnia. Policja poszukuje niekulturalnych klientów.

■ Było włamanie do mieszkania przy ul. Domagalskiego w Radomiu. Zniknął portfel z kartą bankomatową. Krótko po włamaniu ktoś w krótkich odstępach czasu płacił kartą oraz wypłacał gotówkę z bankomatów. W sumie zniknęło z konta kilka tysięcy złotych. Policja szybko dotarła do złodzieja. Okazał się nim 45-letni mieszkaniec Radomia, niedoszły zięć właścicielki mieszkania.



■ Strażnicy miejscy w Jeleniej Górze odpowiedzieli na prośbę o pomoc mężczyzny, którego partnerka zalała się w trupa i nie była w stanie utrzymać pionu. Strażnicy pomogli strapiotnemu panu umieścić kobietę na wózku. – Pani w sposób bezpieczny, choć nie do końca komfortowy, dotarła pod opieką swojego mężczyzny do domu – informuje straż miejska z Jeleniej Góry, przypominając zarazem, że brak umiaru w piciu szkodzi i potrafi utrudnić życie.

■ We wsi Jegłownik pod Elblągiem policja weszła do mieszkania, w którym ukrywali się poszukiwani za kradzieże mężczyźni. Na widok policjantów złodzieje uciekli kominem na dach. Tam jeden zaczął grozić, że skoczy z dachu i popelni samobójstwo. Drugi rzucał w nich cegłówkami. Negocjacje trwały 7 godzin. Ostatecznie złodzieje oddali się w ręce policji. Spory wpływ na ich decyzję miał fakt, że obaj ubrani byli w T-shirty, a temperatura wynosiła ok. 2 stopni.

■ W Krakowie w kamienicy przy ul. Sienkiewicza 25-letni mężczyzna spadł szybem wentylacyjnym z VI piętra na poziom piwnicy. Wydobyli go stamtąd strażacy, którzy zjechali po linie do poszkodowanego, założyli mu uprząż ewakuacyjną, wyciągnęli z szybu

i przekazali ratownikom medycznemu. Wszystkich czekało wielkie zdziwienie. Nie licząc otartej ręki, mężczyzna nie odniósł żadnych obrażeń. Okoliczności zdarzenia bada policja.

■ Szczęście w nieszczęściu miał 12-latek, który bawił się z kolegami na terenie starej piekarni przy ul. Kotlańskiej. W pewnej chwili chłopiec poślizgnął się i wpadł do 8-metrowego komina opuszczonego budynku. Na miejsce wypadku pojechali strażacy z Sosnowca i grupa ratowników wysokościowych z Radzionkowa. Chłopca wyciągnęli. Żyje. Odniósł sporo poważnych obrażeń, m.in. miednicy i kręgosłupa. Został przewożony do Centrum Pediatrii w Sosnowcu.

■ Mieszkanka Tomaszowa Mazowieckiego chciała wysłać 2 koty znajomej w Crevie w Anglii. Skorzystała z usług firmy przewoźowej, która nie wywiązała się z powierzonego jej zadania. W czasie drogi jeden z kotów uciekł z busu, a drugi powrócił do właścicieli po 60-godzinnej podróży. Właściciel firmy zaproponował właścicielce zwierzęcia odszkodowanie: 8,4 zł za kilogram kota. Właścicielki kota to nie zadowala. Chce podać sprawę do sądu, który zapewne drobiazgowo wyważy sprawę.

Musieliśmy udać się aż do Zielonej Góry, aby pojąć to, co niepojęte. Tam na miejscowym Uniwersytecie Zielonogórskim pośród plantacji winogron doktor historyk Daniel Kulhawiec wygłosił doniosły wykład na temat strategicznej roli banana w ontologii politycznej.

Banan w agrogospodarce zielonogórskiej nie ma większego znaczenia – można więc ufać w obiektywizm wywodów dr. Kulhawca. Mógł być on opłacony przez lobby bananowe zgorzeleckiej firmy Citronex – przeciwko grupom producenckim jabłek. Ale wymowa wykładu była antybananowa, raczej więc przekupili go – jeżeli w ogóle – sadownicy.

Od moru, ognia i banana, uchowaj nas, Panie

Nie ma innego owocu, którego smak tak zniewala, a brak tak pobudza, że ludzie zdolni są do największych okrucieństw wobec innych ludzi – aby tylko go zdobyć. Wojny opiumowe w XIX-wiecznych Chinach to pieszczoty w porównaniu z konfliktami bananowymi – wyjaśnił doktor Kulhawiec, a my mu wierzymy.

Gdyby zabrakło bananów w Stanach Zjednoczonych, Stany Zjednoczone od dawna byłyby rządzone przez Breżniewa (gdyby jeszcze żył), natomiast państwa, w których banan jest owocem narodowym, być może byłyby obecnie potęgami high-tech.

Niezrównoważony bilans bananowy, naturalna niesprawiedliwość matki ziemi, występujący między tymi, którzy mają bananów nadmiar, i tymi, którzy nie mają ich w ogóle, jest groźniejszy niż efekt cieplarniany, smog oraz prezerwatywy.

Banany w sposób katastrofalny wpływają na ekosystemy obszarów, na których się je uprawia. Bananowiec bowiem jest rośliną jednoroczną, owocującą nawet 3 razy roku, która pozyskuje z gleby takie ilości składników mineralnych, że po zakończeniu wegetacji czyni ją zupełnie jałową.

Ekwador, Indie i Meksyk wprost pustoszeją w rezultacie migrowania plantacji bananowca. Bananowce są gorsze od pożaru i tsunami. O ile pożary użyźniają glebę, o tyle po przejściu plantacji bananowca ziemia pustynnieje.

Niech żyje nam banan

Jednocześnie sam banan, który podobno jest jagodą, zawiera taką moc kalorii i elementów odżywczych, że zastępuje schabowego. Najstarszy uprawiany owoc na ziemi, którego obecnie zbiera się 140 mln ton.

Każda jednostka ludzka zjada przynajmniej jednego banana rocznie. W Afryce wcinają tego 400 kilo na żołądek, w Europie około 10.

Banany są czwartą pod względem ilości dostarczanego białka rośliną na globie. Jest wprost bestsellerowym owocem – niemającym sobie równych ani wyższych.

Władza nad bananem jest ważniejsza niż władza nad ropą naftową. Sam banan ma właściwości mocodawcze. Chodzić można, bez auta się obyc – ale jeść trzeba. Banany nadają się do jedzenia wymienienie – wystarczy tylko ściągnąć skórkę!

Dlatego też kraje Ameryki Środkowej mogłyby być bogate jak Kuwejt lub Katar. Tak nie jest, gdyż rządy tych krajów trzymane są za twarz przez amerykańskich imperialistów.

Stawka większa niż banan

Ta oficjalna wersja, lansowana jeszcze w PRL, nie musi być prawdziwa. Gdyby się załamała kultura kulinarna USA oparta na bananie, spowodowałaby rewolucję podobną do radzieckiej.



Pierdoła wśród bananów

Owoc wart mszy.

Nieprawdą jest, że United Fruit Company, koncern amerykański, wyzyskiwał robotników bananowych (zwanych bananero), płacąc im po 3 dinejro na 2 tygodnie i każąc pracować 8 dni w tygodniu po 35 godzin na dobę.

W gruncie rzeczy United Fruit Company (następcą prawnym jest Chiquita Bananas), najbardziej nienawidzona korporacja amerykańska, zbankrutowała! Utrzymanie niskiej ceny bananów na rynku amerykańskim nie przynosiło zysków. Rząd USA nie dotował korporacji, bo w czasach wilczego kapitalizmu byłoby to meganieciele-ganckie. Popierał ją subtelnie, wysyłając, kiedy trzeba, marines na plantacje palców bananowych (palec bananowy – tak nazywa się po amerykańsku to, o czym piszę) w okolicy okołorównikowej.

Konflikty bananowe trwają nieprzerwanie od 130 lat. W imię bananów, czyli w gruncie rzeczy potrzeb gastrycznych, poległo 8 milionów ludzi, czyli więcej, niż wymordował głód na Ukrainie w 1933 r., co przecież uznawane jest w Polsce za ludobójstwo.

Wojny bananowe

Dr Kulhawiec wymienił wszystkie wojny bananowe z pamięci:

- * Panama – jedna wojna bananowa i permanentna okupacja dla banana przez 100 lat, aż do 1999 r.

- * Nikaragua – tu wojna i okupacja amerykańska na tle bananowym trwała dłużej niż okupacja hitlerowska w Polsce – 21 lat.

- * Kuba – zniewalana była przez amerykańców dla banana w latach 1899, 1906, 1912, 1917, 1934. Mogło się to zakończyć, jak niektórzy może pa-

miętają, III wojną światową w roku 1962 – kiedy wprawdzie chodziło o radzieckie rakiety, ale te miały bronić kubańskiego banana oraz trzciny cukrowej.

- * Haiti – okupacja amerykańska trwała 15 lat.

- * Dominikana – amerykańskie interwencje wojskowe przybywały tu jak wycieczki turystyczne.

- * Honduras – do interwencji dochodziło w latach 1903, 1907, 1911, 1912, 1919, 1924, 1925. Ustały dopiero, gdy Honduras przeorientował się na uprawę narkotyków.

- * Meksyk – tutaj permanentnie trwa zimna wojna, którą można śmiało porównać do tej ze Związkiem Radzieckim.

Banan z karabinem na ramieniu

Amerykańscy kowboje strzelali do bananero; kogo nie zastrzelili, to palili żywcem lub tylko przypalali, łapali na lasso, poili wodą przez odby, pozbawiali snu przez 180 godzin, oddawali wrogom moc na twarz, a wszystko to w obozach koncentracyjnych, które wymyślili ich brytyjscy pobratymcy. Istny teatr okrucieństwa.

Przedstawienie trwało, aby chronić amerykańską finansję przed podobnymi nieprzyjemnościami ze strony nieubananowionych robotników stalowni Detroit oraz statystów z kalifornijskiej Walt Disney Company.

Sytuacja się zmieniła na przełomie XX i XXI stulecia. Amerykanie przestali wierzyć w wolny rynek w czystej postaci. Obecnie administracja amerykańska nie wysyła żołnierzy, tylko finansuje terroryzm w republikach bananowych. Jak przyparli przyparci do muru przez amerykańską prokuraturę dygnitarze Chiquita

Bananas – bananowa korporacja wydała na finansowanie kolumbijskiego i honduraskiego terroryzmu przez 10 lat przynajmniej 25 mln dolarów na tzw. ochronę – co potraktowane było jako koszt i umniejszyło podatek dochodowy.

Nie ma wolności bez bananowości

Uprawa banana różni się zasadniczo od upraw innej zieleniny tym, że praktycznie nie da się jej zmechanizować. 95 proc. prac wykonują ludzie. Pozostałe 5 proc. – muły, skrzyżowanie konia i osła. 40-kilogramowe kiście bananów przenoszone są na barkach w 37-stopniowym upale i 30-procentowej wilgotności powietrza. Praca robotnika na plantacji bananowej jest cięższa niż górnika w kopalni uranu. Najbardziej nieszczęśliwi ludzie, jakich nosiła ziemia. Po pierwsze, uczciwie pracują – co zasadniczo jest nudne – przez wiele godzin dziennie, co jest uciążliwe, męcząc się przy tym, bez perspektyw na poprawę swojej sytuacji socjalno-bytowej. Latynosi rodzą się i umierają, aby poświęcić życie bananowi. Do dupy...

Prostowanie banana

Konflikt bananowy dotknął też Europę, gdzie zamieszkuje chmara prostych konsumentów bananów zamożnych w euro, funty i złotówki. O żołądki Europejczyków spragnione trawienia banana konkurują 2 przeciwstawne obozy: frakcja postkolonialnych producentów bananów i latynoamerykańska, popierana przez Stany Zjednoczone. Słynna norma Komisji Europejskiej – dotycząca rozmiaru i kształtu europejskiego banana, budzący rozbawienie dowód głupoty urzędników w Brukseli – w gruncie rzeczy miała ogromne znaczenie ekonomiczne.

Eurobanan, czyli taki owoc, który w Europie nie występuje, to w gruncie rzeczy owoc, pochodzący z Indii lub Afryki. Z byłych francuskich lub brytyjskich kolonii. Banan z republik bananowych jest inny.

Normalizacja banana pozbawiła lobby latynoamerykańskie dostępu do Europy lub obłożyła niegabytowe banany nadzwyczajnym cłem. Latynoamerykańskie owoce spełniające naszą kontynentalną normę używane są w Ekwadorze, Brazylii czy Peru do skarmiania świń. Są to owoce pastewne.

Na plantacjach bananów, na których uprawia się je z przeznaczeniem na rynek europejski, mówi się, że te banany jedzą tylko Europejczycy i świnie.

Problem jest taki, że europejskie prawo dotyczące parametrów banana w Polsce się nie przyjęło, bo jest głupie, a Polska stosuje takie same stawki celne na banana – bez względu na to, gdzie nie został wychodowany. Zjadamy banany, 7 kilo rocznie na głowę, importowane głównie z Ekwadoru, którego szizofreniczny prezydent popiera komunistyczną partyzantkę w Kolumbii, wyrzucił z kraju przedstawicieli Międzynarodowego Funduszu Walutowego i Banku Światowego, znacjonalizował, znaczy odebrał Amerykanom ich platformy wiertnicze, ale całkowicie uzależnił kraj od dolara amerykańskiego, zastępując nim miejscową walutę. W sposób oczywisty nasze stosunki z Ekwadorem są zdaniem Komisji Europejskiej nieładne i zbyt poufate.

Na szczęście grozi nam wojna najwyżej z Francją i Wielką Brytanią, gdyż Niemcy problem banana mają zupełnie gdzieś i zachowują się w tej sprawie jak Polska. Olewają wytyczne, ponieważ nigdy nie mieli wielu kolonii. Kupują od tego, kto taniej sprzedaje.

ROBERT JARUGA

jaruga@redakcja.nie.com.pl

■ Na komisariat Szczecin-Niebuszewo przyjechała kobieta z 9-letnim synem. Twierdziła, że chce porozmawiać z policjantem. W czasie rozmowy policjant wy-czuł od niej alkohol i uniemożliwił jej uruchomienie sa-mochodu. Okazało się, że kobieta ma ponad 2 promile. Tłumaczyła, że wypiła leczniczy spirytus, zapisany jej przez lekarza. Z kuracji wytłumaczy się przed sądem.

■ Inspektorzy transportu drogowego z Nowego Targu zatrzymali przed szkołą w Zawoi Wilcznej autobus przewożący piętnaścioro dzieci. Autobus prowadził kierowca z nogą w gipsie. Obok jego fotela stały kule inwalidzkie. Kierowca tłumaczył, że jest na zwolnieniu lekarskim, ale właściciel firmy kazał mu sięść za kie-rownicą. Autobus był w fatalnym stanie technicznym. Właściciel firmy zostanie ukarany wysoką grzywną.

■ 3 promile i dużo szczęścia miał 27-letni mieszkaniec gminy Giżycko, który w miejscowości Zielony Gaj zje-chał na pobocze i uderzył w drzewo. Siła uderzenia by-ła tak duża, że wypadł z auta przez przednią szybę. Au-to natomiast błyskawicznie stanęło w ogniu i spłone-ło. Szczęściarz miał zakaz prowadzenia pojazdów do października 2019 r. Sąd najpewniej mu ten zakaz przedłuży.

■ 66-letnia Wanda Z. mieszka w Sejnach w budynku, w którym lokatorzy korzystają ze wspólnej kuchni i urządzeń, m.in. z lodówki. Właśnie lodówka stała się przyczyną sąsiedzkiego nieporozumienia. Pani Wanda twierdziła bowiem, że ma za mało miejsca w lodówce



i z tego powodu zaatakowała nożem sąsiada, który także z niej korzystał. Raniła go w nos i uciekła do swojego pokoju. Zabarykadowała się, a nóż ukryła w łóżku. Została zatrzymana przez policję. Do winy się nie przyznaje. Brak przestrzeni życiowej był już w historii przyczyną poważnych konfliktów.

■ Poruszanie się po drogach niezgodnie z przepisami grozi poważnymi konsekwencjami. Przekonał się o tym 54-latek z gminy Ostrówek, który w miejscowości Kamieniowola szedł po drodze niezgodnie z przepisami. Zatrzymali go policjanci i ukarali mandatem. Przy okazji wyszło na jaw, że miał on na koncie 7 wyroków za jazdę rowem po pijaku i ponad rok więzienia do odsiadki.

■ Mieszkaniec katowickiej dzielnicy Koszutka zgłosił policji, że od dawna nie widział sąsiadki. Pod wskaza-nym adresem policjanci dokonali ma-kabrycznego odkrycia. W mieszkaniu przebywała 61-letnia kobieta, przyja-

ciółka 64-letniej właścicielki mieszkania, która nie ży-ła już od dwóch miesięcy. Zmarła leżała na łóżku w jednym z pokoi, przykryta kocami i kołdrą. Zwłoki były praktycznie zмумifikowane. Lokatorka, która od dwóch miesięcy pobierała emeryturę zmarłej, wy-jaśniła, że nie powiadomiła nikogo o śmierci przyja-ciółki, bo obawiała się eksmisji z mieszkania.

■ Do kłótni o ojcostwo doszło na porodówce w szpi-talu w Parczewie. W chwili, w której młode małżeństwo opiekowało się noworodkiem, na salę wtargnął mę-zczyzna, który od wejścia krzyczał, że to on jest ojcem nowo narodzonego dziecka. Doszło do kłótni, która przeniosła się na korytarz. Personel szpitala nie mógł uspokoić szarpiących się mężczyzn, więc wezwał po-licję. Gdy przyjechali policjanci, mężczyzna podający się za ojca dziecka zdążył się oddalić. Policjanci odna-leżli go jednak i ukarali mandatem za zakłócanie ładu i porządku. Nie wiadomo, do jakich ustaleń doszli obaj adwersarze w sprawie ojcostwa dziecka. Prawdopo-dobnie kwestia ta pozostaje otwarta.

D.J.

Doniesienia zaczerpnięte zostały w dobrej wierze z prasy lokalnej jako godne upowszechnienia.

Katolicy i prawosławni wierzą w tego samego Boga w trójcy jedynego, o czym czasem trzeba im przypominać, bo częściej patrzą na siebie jak na wrogów niż na braci i siostry w Chrystusie.

Bóg jest sprawiedliwy. Skoro swego czasu katolikom zesłał aferę Banku Ambrosiano, podejrzane samobójstwo jego prezesa Roberto Calviego, skandal z praniem brudnych pieniędzy w Banku Watykańskim, a to wszystko połączone z niejasną rolą masoniskiej loży P2, musiał coś dać także prawosławnym. Dlatego powstał Bank Piereswiet.

Do 2016 r. bank, którego imię łączy się ze świętym mnichem Aleksandrem Piereswitem, z bożą pomocą radził sobie nieźle na finansowym rynku. Nie zaliczał się do gigantów, ale obsługi takich firm jak Lukoil pozwalała mu dawać sobie radę. Zaufanie do instytucji wzbudzała jej główni właściciele: Rosyjska Cerkiew Prawosławna (49,7 proc.) i Izba Handlowo-Przemysłowa (24,4 proc.). Pozostałe udziały były rozproszone wśród drobnych akcjonariuszy, pośród których znalazł się prezes zarządu Aleksandr Szewc oraz pozostali członkowie zarządu.

Rok 2016 nie był dobry dla rosyjskich banków. Niektóre upadły, do wielu wprowadzono zarządy komisaryczne. Do cerkiewnego także, gdy okazało się, że traci zdolności kredytowe. W tym przypadku zaskoczenie było jednak duże, bo ani firmy ratingowe, ani analitycy finansowi nie przewidywali takiej możliwości. Na papierze firma była czysta jak dusza zmierzająca prosto do raju.

Gdy na zlecenie wprowadzonego początkowo na pół roku przez Centralny Bank Rosji zarządu komisarycznego przyjrano się dokładniej

interesom prowadzonym przez Piereswiet, na jaw wyszły ciemne sprawy. Zarząd udzielał wielomilionowych (w dolarach) kredytów nieprowadzącym żadnej działalności firmom albo podmiotom powiązanym kapitałowo z kierownictwem banku. Prezes Aleksandr Szewc zniknął, co jeszcze wzmoгло panikę wśród tych, którzy powierzyli pieniądze cerkiewnemu bankowi. Co prawda niektórzy głęboko wierzący machnęli pewnie ręką i tylko westchnęli: „Bóg dał, Bóg wziął”, ale takich nie było wielu. Ludzie zaczęli gwałtownie wycofywać wkłady, ograniczono więc możliwość wypłaty do 1500 dolarów. Teraz wszystkie placówki banku są zamknięte.

Później Szewc się odnalazł; miał być w szpitalu, ale mimo choroby udało mu się wyżyć niemal wszystkich udziałów w banku. Wartość akcji Piereswietu błyskawicznie spadła o 75 proc.

Wprowadzenie zarządu komisarycznego wzbudza zwykle u klientów zagrożonego upadkiem banku pewien optymizm. Może to oznaczać, że w ten albo inny sposób zostanie uchroniony przed bankructwem. Gdyby centralny bank chciał zlikwidować Piereswiet, po prostu odebrałby mu licencję. Tym bardziej że wszystkie wskaźniki ekonomiczne dawały mu do tego prawo. Wiadomo jednak, co powstrzymało go

przed taką decyzją: siła właścicieli. Duchowni stali się niezastąpionym oparciem dla władzy i mogą sobie pozwalać na więcej niż inni. Skąd my to znamy?



Rys. WŁODEK KIERUS

Od wprowadzenia zarządu komisarycznego mijają miesiące, a sytuacja banku Piereswiet wciąż jest niejasna. Próbowano już różnych sposobów naprawy, nierzadko ocierających się o cuda, w tym przypadku zresztą jak najbardziej na miejscu. Negocjuje się np. z dużymi kredytodawcami Piereswietu i proponuje zamianę długu na obligacje banku centralnego, co – podkreślają ekonomiści – jest niezgodne z obowiązującym w Rosji prawem. W każdym razie bank centralny zapowiada, że nie jest już w stanie w pojedynkę udźwignąć kosztów sanacji prawosławnej instytucji. Uważa, że udziałowcy oraz najpoważniejsi kredytodawcy powinni wnieść wkład w ratowanie swojego banku. I to istotny wkład. Rozumowanie wydaje się logiczne. Kto doprowadził bank do bankructwa, ten powinien za to zapłacić. Tyle że ci, którzy mieliby płacić, wcale nie mają na to ochoty. Wciąż się targują, chcieliby stracić jak najmniej. Jak gdyby w ogóle nie brali pod uwagę, że bank centralny może odebrać Piereswiewowi licencję i wtedy stracą wszystko. Czyżby wiedzieli coś więcej niż urzędnicy banku centralnego?

„Sytuacja wokół banku Piereswiet” – napisał popularny w Rosji portal Compromat.ru – „dawno przekroczyła granice zdrowego rozsądku. I granice przyzwoitości także”.

Dlaczego zawsze wówczas, gdy mamy do czynienia z pieniędzmi zarządzanymi przez Kościół, musi pojawić się jakaś afra? Żaden śmiertelnik nie odpowie na to pytanie, bo wyroki boskie są niezbadane.

W.M.

Do błogosławionego ks. Jerzego i świętego Jana Pawła II dołączyć może kolejna polska święta – Helena Kmieć.

Taki pogrzeb przysługuje osobom, które zmarły w trakcie służenia państwu. Zazwyczaj chodzi o prezydentów, parlamentarzystów, żołnierzy. Bywa, że uhonorowani zostają ludzie kultury i nauki. Ważna jest liczba odznaczeń państwowych, które zmarły dostał w pracy na rzecz państwa. Pogrzeb państwowy nie przysługuje, jeśli są wątpliwości co do słuszności postępowania trupa za życia.

To dlatego wybuchła awantura po pogrzebie generała Wojciecha Jaruzelskiego. Wiadomo, kim był. – Wprawdzie pogrzeb miał skromny, ale czy czuwanie żołnierzy przy trumnie komunistycznego satrapy było zasadne? – zastanawiali się prawdziwi Polacy.

W przypadku Heleny Kmieć nikt nie ma wątpliwości. Jak wiadomo, zginęła w nocy 24 stycznia 2017 r. w Boliwii podczas rabunkowego napadu na ochronkę. Zadano jej 14 ciosów nożem. Wykrwawiła się na rękach koleżanki. Miała 26 lat.

Pogrzeb odbył się pod koniec lutego 2017 r. w Libiążu. Wartę pełniło Wojsko Polskie, mszy przewodniczył kardynał Dziwisz, pomagało mu kilku biskupów i 120 księży. Prezydent Duda przysłał ministra ze Złotym Krzyżem Zasługi, a premier Szydło list pożegnalny. Przez szefową kancelarii, bo Szydło akurat leżała w szpitalu.

Bratanica

Helena Kmieć obroniła dyplom na politechnice w Gliwicach. Jednocześnie skończyła szkołę muzyczną. Od 2012 r. działała we Wspólnocie Wolontariatu Misyjnego w Trzebinii. Pierwsza placówka – Węgry. Potem w Rumunii prowadziła półkolonie dla dzieci. 2 miesiące spędziła w Zambii.

Lubiła podróżować. Była stewardessą w liniach WizzAir. W ankiecie zdradziła plany. Najbliższy rok – duszpasterstwo lotnicze, uporządkowanie, nauczyć się hiszpańskiego. Miała chłopaka, zatem na następne 5 lat rodzina, praca dająca satysfakcję, być bardziej dla innych. Plan długoterminowy: świętość.

Pod koniec 2016 r. okazało się, że potrzebny jest ktoś w Boliwii.

Czy warto jechać do Boliwii? Tam są Andy. Wielkie różnice wysokości i temperatur. Piękne krajobrazy. Kobiety noszą kolorowe spódnice, na wsiach tkane z wełny lamy. Do tego stroju bardzo koronkowe bluzeczki i kapelusze. A w kościołach można tańczyć i śpiewać. Co więcej – tam, gdzie byli polscy kapłani, a to nie jest żaden rarytas, Boliwijczycy śpiewają na melodię „Góralu, czy ci nie żal” albo „To były piękne dni”. Tak opowiadała tygodnikowi „Niedziela” o życiu na misji siostra Lucyna Hałabis.

Wycieczka po świętość



Rys. WŁODEK KIERUS

Czy zdawał sobie sprawę, że przyzwolił na wycieczkę do piekła? Co zrobił w sprawie bezpieczeństwa młodych kobiet Wolontariat Misyjny Salwator?

Polskie MSZ ostrzega: sytuacja polityczna i społeczna w Boliwii jest niestabilna. Oprócz pospolitych napadów rabunkowych i przypadków kradzieży należy liczyć się z agresywnymi zachowaniami miejscowej ludności.

Poradniki każą pakować bagaże w zakupione na targu worki. Nie mogą się rzucić w oczy złodziejom. Nie tylko zamykać drzwi na klucz w pokojach hotelowych, ale w nocy podstawić pod kłamkę krzesło lub stół.

Jeśli wierzyć stronie www.facebook.com/helenameczenniczka, utworzonej przez przyjaciół Heleny, dziewczyny przebywały w budynku ochronki same. Nie zadbano o bezpieczeństwo. Nie zamontowano choćby alarmu. Mordercę okazał się wychowanek misji.

Męczennica

Aby uzyskać pierwszy stopień w drodze do świętości, czyli zostać błogosławionym, musi zostać przeprowadzony dowód o heroiczności cnót kandydata. I minąć 5 lat od śmierci, chyba że papież zdecyduje inaczej.

Jest furtka. Nie dotyczy to męczenników. Biskup Zajac: „Na tym polega teraz apostolstwo Heleny: ewangelizuje swoją męczenną śmiercią i dla nas wszystkich jest przypomnieniem, że do wierności Ewangelii, dawania świadectwa wezwani są nie tylko biskupi, ale również ludzie świeccy”.

Biskup Marek Jędraszewski, metropolita krakowski: „Kościół buduje swą ciągłość na krwi swoich męczenników, zaczynając od pierwszych wieków chrześcijaństwa, a kończąc na czasach współczesnych. I mówię tu także o śp. Helenie”.

Kardynał Stanisław Dziwisz: „Helena została męczenniczką”.

Cytaty pochodzą z cytowanej strony www.facebook.com/helenameczenniczka.

„Jej śmierć przyniosła nam ból i cierpienie, jej życie dla wielu z nas pozostanie inspiracją” – podsumowała Beata Szydło.

Pewnie, niech inne młode Polki też pojadą do Boliwii. Z tygodnika „Niedziela” wiem, że tamtejsi biskupi co chwilę wysyłają zaproszenia do zgromadzeń żeńskich i męskich na całym świecie, ponieważ w kraju jest za mało powołań. Aż 60 procent boliwijskich duchownych to Polacy.

B.D.

„Dajemy dzieciakom kilka ciasteczek i szklankę mleka i te dzieciaki się cieszą”- opowiadała o kontaktach z tubylcami. Trudno się dziwić, że dziewczyny marzą o podróży. I jadą, gdy tylko trafi się okazja. To w końcu najmniej odwiedzany kraj Ameryki Południowej. Komercyjna wycieczka w te strony kosztuje majątek.

Choć w tym przypadku nie chodziło o pieniądze...

– Ale tam są przecież te dzieci, trzeba im pomóc. Jadę, bo wiem, że to jest wypełnienie mego powołania. Tego słowa użyła z całym przekonaniem, że robi to nie dla przygody, ale żeby w duchu wiary nieść tym dzieciom radość i miłość chrześcijańską – wspomina zmarłą Jan Zajac, biskup senior archidiecezji krakowskiej. Helena Kmieć była wnuczką jego brata.

Z CZARNEJ DUPY się wyrwało

■ Wbrew pozorom prawdziwymi obrońcami wartości sztuki nie są ani reżyser „Kłatwy”, ani występujący w niej aktorzy, ani wspierający ją publicyści, ale ludzie, którzy z **rózańcem w rękę** i ze złożonymi w modlitwie dłońmi postanowili zaprotestować. To oni bronią piękna, bronią niewzruszonej wartości tych znaków kulturowych, które pozwoliły **Polakom przetrwać** i się rozwijać.

Paweł Lisicki, „Do Rzeczy”, 27 lutego

■ Gdyby nasze państwo było **państwem katolickim**, nie chronilibyśmy „uczuć religijnych”, **zakazalibyśmy po prostu bluźnierstwa** i jego promocji. A kara byłaby znacznie bardziej surowa, niż grzywna – na którą najczęściej skazywani są u nas bluźniercy.

Krzysztof Kratiuk, PCh24.pl, 27 lutego

■ Problem w tym, że ta obsesja jest udziałem innych „obsesjonatów”, którzy taką „sztukę” popierają, a piastując stanowiska państwowe, wydają zgodę na zatrudnienie choćby tego, a nie innego dyrektora, gdy wiadomo, że dyrektor jest też „obsesjonatem”, a więc będzie zapraszał reżyserów o określonej wizji artystycznej i będzie aprobował wystawiane przez nich „sztuki”. Jest to dość skomplikowany **łańcuszek znajomości** i powiązań nie tylko w świecie artystycznym, ale również administracyjnym, politycznym i ideologicznym; w skali nie tylko jednego teatru, ale całego miasta, a nawet całego kraju, ba, jest to **układ międzynarodowy**.

prof. Piotr Jaroszyński, „Nasz Dziennik”, 23 lutego

■ Ostatnie dni to kolejny atak lewicowo-liberalnych środków społecznego przekazu na osobę Dyrektora Radia Maryja

Ojca Doktora **Tadeusza Rydyzka**. Ponieważ jakkolwiek polemika jest tu całkowicie zbędna, należy sobie jedynie odpowiedzieć na pytanie dlaczego politycy i media z obozu liberalno-lewicowego nie lubią ojca Tadeusza Rydyzka? Nie lubią, ponieważ: Jest **charyzmatycznym kapłanem, wszechstronnie wykształconym człowiekiem** znającym bardzo dobrze historię Polski, Narodu i Kościoła. (...) Broni polskiej własności ziemi, sprzeciwia się sprzedaży polskich lasów państwowych, widzi dramat Puszczy Białowieskiej. Kocha Polskę i Polaków i wie, że podstawą siły Narodu jest Rodzina. Otwarcie **zwalcza lewackie ideologie** w rodzaju „gender” oraz stanowczo wspiera tradycyjny model rodziny.

prof. Jan Szyszko, minister środowiska, list otwarty, 27 lutego

■ Wpływy z reklam, także również teraz, niestety, od spółek Skarbu Państw to dla mediów liberalno-lewicowych miliardy. Teraz, w czasie tych przemian. A Telewizja Trwam? Oni mówią, że dostajemy miliony. **Telewizja Trwam** w porównaniu z nimi – z tymi lewackimi mediami – **otrzymuje grosze**. (...) A teraz mamy **następny duży wydatek i to nas martwi** – kupno kamer telewizyjnych. A kamera telewizyjna – bez obiektywu – kosztuje ok. 250 tys. zł. skąd na to wziąć? Dotychczasowe kamery muszą już być wymienione. Ale pytanie: czy miliony słuchaczy i widzów nie mogą systematycznie pomagać? Utrzymują, jeśli kochają Pana Boga, Kościół i Polskę.

ojciec Tadeusz Rydyż, „Nasz Dziennik”, 22 lutego

■ W Polsce wytworzyła się sytuacja, w której **telewizje prywatne** stworzyli ci, którzy byli reprezentantami bardzo wąskiej warstwy ludzi niemyślących tak, jak reszta Polaków, ludzi mających kłopoty z polskością i z wartościami, które są zwykle przypisywane do kanonu polskości. Zrobili to bardzo sprytnie, gromadząc kapitał ukradziony narodowi przez komunistów i kierując go na media. Tak Okrągły Stół zdecydował, że komuniści, którzy byli właściwie nikłą warstwą zdrajców, zyskali kapitał, żeby stworzyć media.

Dzięki tym mediom starali się formować polskie, nowe społeczeństwo. (...) Jeśli chcemy **reformować Polskę**, to z TVN-em Polski zreformować się nie da, bo **TVN polską niepodległość niszczy**.

Witold Gadowski, Fronda.pl, 28 lutego

■ Obraz **Agnieszki Holland** ma jasny cel – obrzydzić Polakom ich samych, ich Ojczyznę i ich Kościół. (...) „Pokot” z pewnością można by wystawić na półkę z podobnymi mu antypolskimi, ideologicznie przesięgniętymi produkcjami, gdyby nie pewna ważna z katolickiego punktu widzenia kwestia. Film wypełnia bowiem nachalną **promocję astrologii i numerologii**. Duszejko para się nimi z wielkim zaangażowaniem i przekonana jest o ich skuteczności w rozeznawaniu przyszłości. Zza ekologiczno-feministycznego kryminału, jakim zdaje się być „Pokot”, wyciera zatem wykrzywiona w upiornym uśmiechu **twarz demona**, który po mistrzowski potrafi sprzedać swój zatruty towar.

Łukasz Karpel, PCh24.pl, 24 lutego

■ Nie należy jednak mieć żadnych złudzeń: walka o dobre imię i pamięć Wyklętych nie zakończy się bardzo długo. **Może nawet nigdy. Nie jest to bowiem spór – choćby i gorący – o coś dalekiego, społecznie obcego stronom sporu. Nie, to jest spór o żywe źródło. Jedną część Polski wyrasta przecież z komunizmu, a druga z oporu przeciwko komunizmowi. Albo inaczej: jedną część Polski odwołuje się do **Polski PKWN**, drugą do **Polski Wyklętych**. Tamte wybory bądź sympatie do tamtych wyborów, wiążą się z wyborami dzisiejszymi. Tych dwóch tradycji **po-godzić się nie da**. Opór przeciwko Polsce odwołującej się do Wyklętych jest więc obroną całej konstrukcji, rozciągającej się może nawet od 17 września 1939 roku (albo i wcześniej), aż do roku 2015.**

Jacek Karnowski, w Polityce.pl, 28 lutego

Wybrał
WALDEMAR KUCHANNY
wkuchanny@redakcja.nie.com.pl

Nieludzkie pany

Zaczęło się od „my, prawdziwi Polacy, patrioci, obrońcy krzyża i niepodległości”, a skończyło na „tak, my jesteśmy pany”. Pan (od greckiego bożka pasterzy, syna Her-mesa) w religii katolickiej zarezerwowane jest dla Boga ojca, Syna Jezusa i Matki Jęgo (Pani). Elita Katolantu to zbieranina panów i półpanków. Jasiński, kumpel naczelnika Katolantu, prezes Orlenu, senator Bie-recki ze SKOK-ów czy minister Szyszko, ksywa Trocina, uważani są za bogatych panów. W rządzie jest potomek rodu panów, minister zdrowia Radziwiłł, ksywa Pigulka. Reszta wywodzi się z niższych sfer, ale służbowymi limuzynami potrafi zaszczać jak panowie z krajów bogatych. Posłanka PiS Li-chocka wyspecjalizowała się w łapaniu posłów i publicystów zapominających tytułowania panem prezesa i prezydenta. Ostatnio padło na posła PSL Pogorzelskiego. Chłopi-



ska musiał się gęsto tłumaczyć w Kurwizji. Ojcem powiedzonka „panie marszałku kochany” stał się 16 grudnia poseł PO Szczereba. Minister Rafalska jest matką nazwy „dziadopany” (osobnicy majątni, wyciągający łapę po 500 plus).

PiS przymierza się do reprivatyzacji majątków „zagrabionych” przedwojennym panom. Będą to już ich spadkobiercy, czyli spadko-pany. Znowu będziemy śpiewać: „O cześć wam, panowie magnaci...”.

K.P. Warszawa

Schizofrenia narodowa

Czytam różne komentarze w internecie pod artykułami na tematy polityczne lub na portalach społecznościowych. Nikt nie zostawia suchej nitki na rządzących obecnie politykach. A potem czytam sondaże poparcia. I przestałem rozumieć cokolwiek. Jak to właściwie jest? Może ja jestem niedorozwinięty? Więc jedną ręką naród obrzuca kalumniami twórców naszej politycznej rzeczywistości, a drugą ręką podpisuje listy poparcia dla nich? Jakież rozdzielenie jaźni?

A może ten naród został już tak ogłupiony przez rodaków, wywodzących się z jednego solidarnościowego pnia, że nie wie lewica, co czyni prawica?

Bartek Majeran

W parterze

Nawet w „Salonie politycznym Trójki”, czyli miejscu raczej zaściankowym, minister Waszczykowski nie daje rady. Z osłim uporem odgrywa rolę obrońcy ojczyzny. Krytyczne uwagi Timmermansa dotyczące pogarszającej się sytuacji władzy sądowniczej w Polsce, wygłaszane w ramach Konferencji Bezpieczeństwa w przytomności przedstawicieli rządu Niemiec i Litwy, tudzież prasy zagranicznej, określa mianem „prób piętnowania Polski”. Kiedy wiceprzewodniczący KE mówi publicznie to, co powiedział Timmermans, to nie jest „próba” piętnowania, a właściwe piętnowanie posunięć rządu PiS. W tym sensie kłapanie dziobem ministra Waszczykowskiego przed niczym Polski nie uchroniło. Skuteczny, czyli również zapobiegliwy szef MSZ powinien tak prowadzić spotkanie, aby jego rozmówca w istoty sposób złagodził swoją wypowiedź, najlepiej zaś w ogóle jej zaniechał (abstrahuje

w tym miejscu od jej bezdyskusyjnej zasadności). Dziennikarz „GW” ocenił, iż riposta Timmermansa sprawdziła Waszczykowskiego do parteru. Szczegółowo. Pelzanie w parterze to permanentny stan podwładnych Kaczyńskiego. Oni tylko ruszają ustami, udając, że formułują jakieś własne treści, przemawia zaś prezes PiS, który rad by być wszędzie i wszystkiego doglądać, jednak nigdy osobiście. Zbiór bezmyślnych awatorów zwanych rządem, to jedynie fizyczna emanacja mokrych snów Kaczyńskiego o politycznej omnipotencji. Jego upodobaniu do odgrywania roli szarej eminencji zawdzięczamy sytuację, w której nikt nie traktuje poważnie polskich delegacji zagranicznych. Ostatnia wizyta kanclerz Merkel była tego wymownym dowodem. Tylko ktoś tak zakochany w sobie jak Kaczyński może traktować tego typu wizytę jako dowód swej politycznej siły.

Tadeusz Kwiatkowski, Kraków

Wieści z kruchty

➤ Konsternacja w Domu Pielgrzyma na Jasnej Górze. Zameldował się w nim wraz z towarzyszącą mu kobietą 22-letni katolik z miejscowości Łazy w powiecie zawierciańskim. Następnego dnia rano pielgrzym nie dawał znaku życia, więc jego zaniepokojona partnerka zawiadomiła pogotowie i policję. Lekarz stwierdził zgon, a prokurator nie znalazł śladów wskazujących na morderstwo. Sekcja zwłok nie dała odpowiedzi, co było przyczyną śmierci. Według prowadzących dochodzenie przyczyną tą mogły być zażywane przez mężczyznę środki odurzające bądź farmakologiczne.

➤ „Z uwagi na niewystarczającą wysokość darów podczas wizyty duszpasterskiej z dnia 20.12.2016 r. informujemy, że powtórzenie koleży w bloku nr 3 odbędzie się w środę 22.02.2017 r. od godz. 16: 30. Prosi się o wzgląd na to, iż w obrębie Państwa osiedla mieszkaniowego zaplanowana jest budowa nowoczesnej Świątyni, zaś przynależność do Wspólnoty Wyznaniowej Powszechnego Kościoła Katolickiego nakłada na Wiernych określone obowiązki jako Wyznawców Wiary – w tym uczestnictwo w utrzymywaniu istniejących oraz tworzeniu nowych Domów Bożych, które są miejscem liturgii i eucharystii” – ogłoszenie tej treści ukazało się w jednym z bloków na terenie parafii Matki Bożej Królowej Męczenników w Bydgoszczy oraz na jednym z bydgoskich portali. Natychmiast zareagował proboszcz, który kategorycznie zaprzeczył, że chce przeprowadzić ponowną koleję. O sprawie poinformował policję. Na podkreślenie zasługuje fakt, że bardzo wielu ludzi uwierzyło w ogłoszenie.

➤ 3 kolejne miesiące spędzi w areszcie ks. Mirosław L., dyrektor salezjańskiego domu dziecka na częstochowskim Stradomiu. Duchowny jest podejrzany o molestowanie dwóch wychowanków w wieku 14 i 15 lat i naruszenie nietykal-

ności cielesnej trzeciego podopiecznego. Ksiądz siedzi w areszcie od 1 października zeszłego roku, mimo poręczeń wierznych z jego parafii oraz zapewnień zakonnych przełożonych, że stawi się na każde wezwanie prokuratury. Prokuratura, która wystąpiła o przedłużenie aresztu, tłumaczy, że wymaga tego dobro śledztwa i konieczność przesłuchania świadków, a niektórzy z nich nie mieszkają w Częstochowie.

➤ Szkolenie z zakresu bezpieczeństwa ogólnego przeszli księża z Zielonej Góry. Duchowni wysłuchali policyjnych wykładów dotyczących zagrożeń terrorystycznych, bezpieczeństwa i organizacji świąt kościelnych, przestępstw zagrażających księżom w związku z pełnieniem posługi kapłańskiej oraz zasad bezpieczeństwa w ruchu drogowym. Obecnie na spotkaniu konserwatorzy zabytków przypomnieli duchownym o sposobach zabezpieczenia dóbr kultury pozostających na wyposażeniu parafii. Podbudowani tą wiedzą duchowni z pewnością oddadzą się jeszcze z większą ufnością Opatrzności.

➤ Bannery reklamowe firmy Budimex Nieruchomości zawisły na wieży kościoła św. Stanisława Kostki na warszawskim Żoliborzu. Przy kościele jest pochowany ks. Jerzy Popiełuszko, którego wi-

zerunek wisi teraz obok banneru reklamowego. Wielu parafianom nie podoba się przemienianie wież kościelnych w słupy reklamowe. Przedstawiciel firmy zapewnia, że bannery zawisły tylko na czas remontu wieży kościelnej finansowanego przez Budimex Nieruchomości.

➤ Sąd Okręgowy w Lublinie wydał wyrok w sprawie dwóch mężczyzn, którzy napadli na świadków Jehowy. Poturbowali ich, grozili spaleniem domu modlitwy w Krańniku i wygnaniem z Polski. Zarzucili im też szerzenie w Polsce islamu. 23-letni Amadeusz Z. został skazany na grzywnę w wysokości 4 tys. zł. Jego kompan, 32-letni Marcin M., będzie przez rok wykonywał prace społeczne w wymiarze 30 godzin miesięcznie. W sądzie wstawili się za nimi poszkodowani przez nich świadkowie Jehowy.

➤ Przypomniało o sobie bożyszcze nacjonalistycznej prawicy, były ks. Jacek Miedlar. Poleciał do Anglii, aby wziąć udział w antymuzułmańskiej demonstracji skrajnie prawicowej organizacji Britain First w pobliżu Birmingham oraz w biegu pamięci Żołnierzy Wyklętych Tropem Wilczym w Slough w zachodnim Londynie. O odwołanie wydarzeń z udziałem Miedlara apelowały brytyjskie organizacje antyfaszystowskie oraz Fundacja Wolność i Demokracja, główny organizator biegów tropem wilczym na całym świecie. Eks-ksiądz został zatrzymany na lotnisku w Stansted i odesłany do Polski.

➤ Coraz poważniejsze obawy budzi stan psychiczny superkatolickiego publicysty Tomasza Terlikowskiego. Komentując informacje NASA o odkryciu układu planetarnego o warunkach zbliżonych do ziemskich, Terlikowski zapowiedział, że jeśli spotka kosmitów, to będzie ich ewangelizował i głosił im prawdę o Bogu. Spieszmy uspokoić naszych braci w Kosmosie, że ze względu na obecne możliwości techniczne Ziemi Terlikowski i jego Bóg pojawiają się na ich planetach dopiero za miliony lat świetlnych.

JAN

Wieści na użytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.



Rys. TOMASZ WATERS

Tadeusz Zakrzewski

REPORTERSKIM ZEZE NA TRZECIĄ RZECZPOSPOLITĄ



Książka i Wiedza

„Książka i Wiedza”
tel. (22) 827-94-14
W księgarniach i w internecie.

Najpotężniejszy
człowiek świata
umierał
w samotności.
Nikt mu
nie pomógł
– tak się go bali
poddani.

Dyktator umiera w szczynach

Od śmierci Józefa Stalina minęły 64 lata. Okoliczności tego wydarzenia opisano w dziesiątkach książek i setkach artykułów, najpierw na Zachodzie, a po upadku ZSRR również w Rosji. W Polsce dorobek tej literatury podsumował Eugeniusz Duraczynski w fundamentalnej monografii „Stalin – twórca i dyktator supermocarstwa”. Dość szczegółowo przedstawiła najnowszy stan wiedzy na ten temat francuska uczona Françoise Thom w pracy „Beria. Oprawa bez skazy”. Wielu autorów do dziś snuje o tej śmierci różne hipotezy spiskowe, podejrzewa mord pałacowy, otrucie. Mimo upływu czasu nie znaleziono na to dowodów, a nawet przekonujących poszlak. Jednak podejrzania nie wygasają; sama prawda jest tak sensacyjna, że aż trudna do uwierzenia.

Samotna śmierć mocarza

Po II wojnie światowej Stalin stał się najpotężniejszym człowiekiem na świecie. Sprawował władzę absolutną w ogromnym imperium, od Pacyfiku po Łabę w środku Europy. Dysponował kilkumilionową armią, od 1949 r. wyposażoną w broń nuklearną. Współ z prezydentem USA Franklinem Rooseveltem i premierem Imperium Brytyjskiego Winstonem Churchillem wygrał największą z wojen w dziejach; w jej wyniku podzielił świat na sfery wpływów, aby bezpośrednio po tym uwikłać się w „zimną wojnę” z niedawnymi sojusznikami. Był groźnym tyranem, budził strach i podziw, nienawisć i uwielbienie.

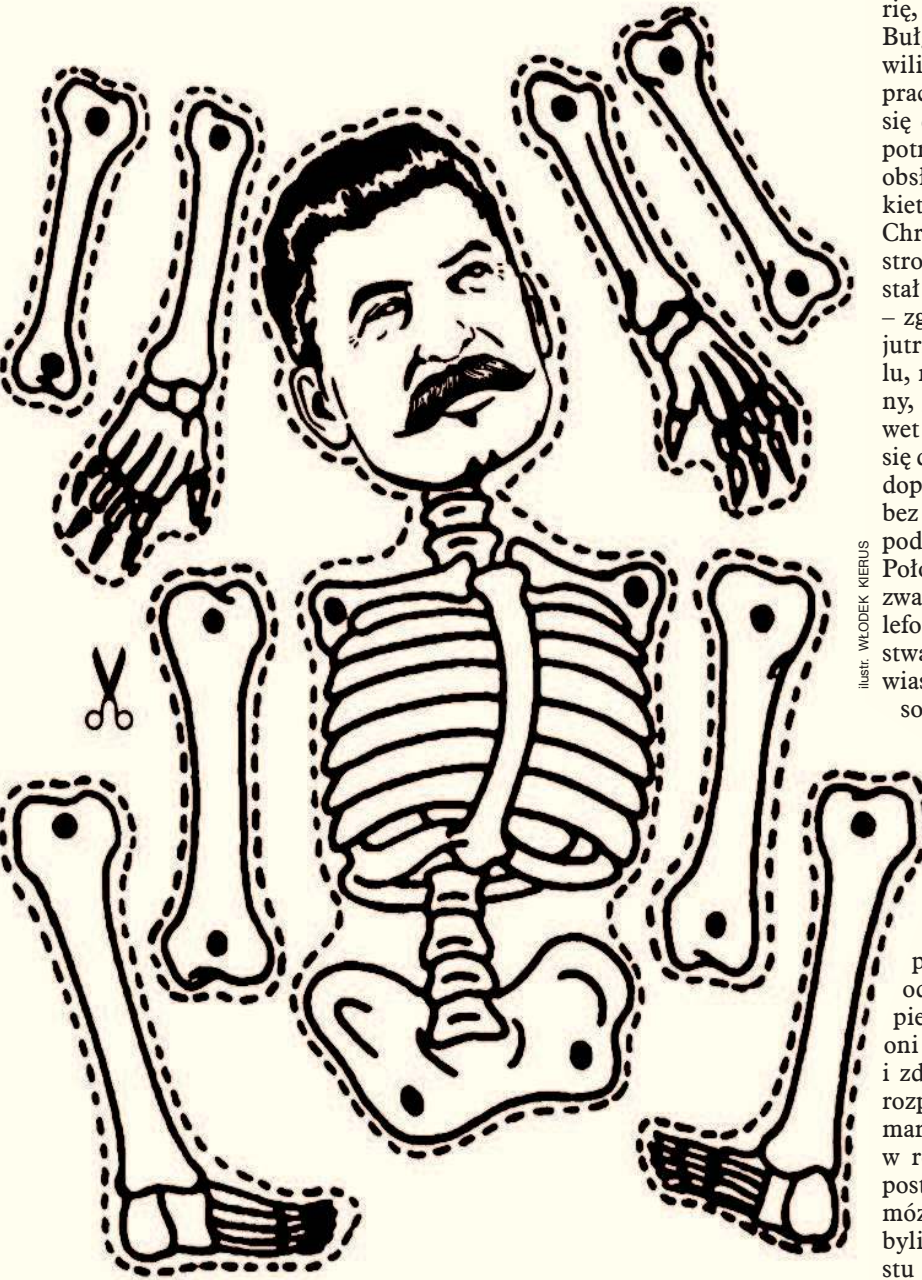
I oto

ten mocarz umierał jak ostatni menel. Powalony udarem mózgu, leżał nieprzytomny kilkanaście godzin na podłodze w kałuży moczu, zanim położono go na łóżku. Dopiero po 28 godzinach znalazł się pod opieką lekarzy.

Miał w Moskwie syna i córkę, ale umierał w otoczeniu strażników policyjnych i czekających niecierpliwie na jego koniec politycznych sukcesorów. Według gen. Dmitrija Wołkownikowa, historyka zawiadującego po upadku ZSRR kremlouskimi archiwami, jedyną osobą, która rzuciła się z płaczem do nóg zmarłego, była kobieta prowadząca jego gospodarstwo domowe.

Despota

Tropiciele spisku podejrzewają, że ogromna zwłoka w sprowadzeniu pomocy lekarskiej dla Stalina spowodo-



wana została celowo spiskiem na jego życie. Brak na to dowodów. Sprawdzający pomoc mogli najwyżej trochę ją opóźnić. Feralnego biegu zdarzeń nie mogli spowodować, gdyż został on zdeterminowany regulaminem ustanowionym przez Stalina. To on sam był autorem scenariusza swojego umierania.

Nie lubił mieszkać na Kremlu, wołał podmiejskie daczę. Od 1935 r. jak najczęściej, a po wojnie na stałe mieszkał w zbudowanej specjalnie dla niego daczę zwanej „Bliźniaja” w pobliżu miasteczka Kunczewo, dziś w granicach Moskwy. Plan tej daczę był w rosyjskiej prasie wielokrotnie publikowany. Na parterze miała 6 pokoi, obszerne łazienkę i dużą salę jadalną, piętro było bliźniacze, tylko nad salą jadalną znajdował się taras. Stalin użytkował jedynie parter, piętro przeznaczono dla gości. Ci zdarzali się bardzo rzadko, w czasie wojny raz mieszkał tam Churchill, a po wojnie w 1949 r. Mao Zedong. Dacza miała odpowiednią przybudówkę, w której mieściły się kuchnie, instalacje gospodarskie, pomieszczenia dla personelu.

W latach powojennych dziwaczej- cę i obłąkany na punkcie bezpieczeń- stwa despota mieszkał w tej ogromnej willi sam. Z synem nie utrzymywał

blizszych stosunków, córkę, owszem, czasami zapraszał, ale kazał dla niej zbudować obok osobny apartament, zewnętrznie w kształcie wiejskiej cha- ty. Nie znośli, aby ktoś czuł nad je- go snem, zatem zarządził, że nocą w głównym budynku daczę pozostaje tylko on, wejść strzegli wartownicy, a obsługa czekała w przybudówce na jego wezwanie. We wszystkich po- kojach stały identyczne sofy, każdego wieczora w pomieszczeniach na parterze ścielono wszystkie; nikt nie wie- dział, na której Stalin położy się do snu. Personel obsługujący i strze- gący willi pracował w napięciu; kilka miesięcy przed śmiercią Stalin wtrącił do więzienia szefa swojej ochrony Ni- kołaja Własika, skądinąd całkowicie mu oddanego, jego zastępców oraz szefa swej kancelarii Aleksandra Po- skrebyszewa, którego Chruszczow później pogardliwie nazywał stali- nowskim giermkim. Nikt w otocze- niu despoty nie był pewny swojego lo- su, wszystkich paraliżował strach, nikt nie był zdolny do samodzielnej decyzji w sytuacji krytycznej.

Udar

28 lutego Stalin zaprosił na kolację Georgija Malenkowa, Ławrentija Be-

rię, Nikitę Chruszczowa i Nikołaja Bułganina. W ostatnim okresie stano- wili grono jego najbliższych współ- pracowników. Kolacje takie ciągnęły się długo w nocy. Nikt nie podawał, potrawy rozstawiano na stole i każdy obsługiwał się sam. Tym razem ban- kiet zakończył się po północy, według Chruszczowa Stalin był w dobrym na- stroju. Goście odjechali, gospodarz zo- stał w głównej części budynku sam – zgodnie z regulaminem. Gdy naza- jutrz do południa nie wzywał persone- lu, nie wywołało to niepokoju ochro- ny, gdyż często sypiał do 12.00, a na- wet dłużej. Gdy jednak nie odezwiał się do wieczora, zaniepokojono się, ale dopiero o 22.30 odważono się wejść bez wezwania. Znaleziono Stalina na podłodze nieprzytomnego, w piżamie. Położono na sofie, ale nie śmiano we- zwać na własną rękę lekarzy, lecz zate- lefonowano do ministra bezpieczeń- stwa (MGB) Siemiona Ignatiewa. Na- wiasem mówiąc, w dość licznym per- sonelu strzegącym i obsługującym dom Stalina nie było nie tylko lekarza, ale nawet pielęgniar- ki, mimo że gospodarz był w grupie ryzyka, w 1947 r. do- znał pierwszego udaru. Leka- rzy się obawiał, podejrzewał ich o spiski.

Ignatiew też nie zdecydował się przywołać pomocy medycznej, lecz odszukał Malenkowa i Berię. Do- piero około trzeciej w nocy zjawili się oni w willi, zorientowali się w sytuacji i zdecydowali się wezwać lekarzy. Ci rozpoczęli pracę wczesnym rankiem 2 marca, zorganizowali na miejscu coś w rodzaju szpitala. Około 7.00 rano postawili pierwszą diagnozę: udar mózgu, paraliż prawych kończyn. Też byli śmiertelnie przerażeni, dwudzie- stu ich kolegów z kremlońskiej lecz- nicy, i to najwybitniejszych, od kilku miesięcy siedziało w więzieniu, pię- tnowani przez prasę jako „mordercy w białych fartuchach”. Według wspo- mnień, tylko prof. Miasnikow zachow- ał zimną krew i profesjonalizm. Po kilku godzinach, wieczorem 2 mar- ca powiadomił dyżurujących przy chorym członkach kierownictwa o niepomyślnym rokowaniu. Nie da- wał szans na odzyskanie przez Stali- na przytomności. Stalin zmarł 5 mar- ca o 21.50.

Paranoja

Bezpośrednim otoczeniem Stalina, i jego domem pod koniec życia dykta- tora rządziły więc paranoja i chaos. Chaos ogarnął też całe kierownictwo Związku Radzieckiego. Od XIX Zjaz- du KPZR w październiku 1952 r. było ono w rozszepce. Wszystko wskazuje na to, że półobłąkany despotą zamie- rzył kolejną czystkę, preludium miała być rozprawa z organizacjami żydow- skimi oraz z lekarzami z kremlońskiej lecznicy. Przenaczył do ostrzału głównych współpracowników z po- przedniego okresu – Woroszyłowa, Mołotowa, Mikojana, nawet Berię. Nie krył się z tym. Otwarcie oskarżył Woroszyłowa o szpiegowanie na rzecz Anglii, Mołotowa i Mikojana o za-

przedanie się Ameryce. Kazał aresztow- wać żonę Mołotowa, podejrzewał go o patronowanie żydowskim spiskow- com. Berię odsunął od kierowania aparatem bezpieczeństwa. Wszystkich pozbawił władzy i wpływu na decyzje, ale na razie pozostawił na formalnie wysokich stanowiskach członków Prezydium KC (które zastąpiło do- tychczasowe Biuro Polityczne) i wice- prezesów Rady Ministrów. Liczbę członków prezydium zwiększył do 25, otaczając dawnych współpracowni- ków tłumem nowych zależnych tylko od niego „wydwieńców”. Poniechał jednak zwolnienia tego ciała, rządził przy pomocy doraźnie tworzonych ze- społów, różnych „piątek” czy „sióde- mek”. Stan ten spowodował zanik lo- jałności wobec Stalina w najwyższym establishmencie, w odróżnieniu od lat 30. entuzjastów czystki brakło, na- wet aparat MGB brał się za nią bez za- pału, niemrawo wydobywał zeznania od lekarzy, czym budził wciekłość de- spoty. Potrzeba destalinizacji wisiała w powietrzu.

Nie było odważnych do zorganizowania spisku, ale do wykorzystania okazji gotowi byli wszyscy.

Destalinizacja

Rozpoczęło się, zanim Stalin wydał ostatnie tchnienie. Inicjatywa wyszła od najbliższych despotie – Malenko- wa i Berii. 4 marca w gronie kilkusoo- bowego zespołu, zwanego przez Stali- na Biurem Prezydium, uzgodnili tryb przeprowadzenia przewrotu na szczy- tach władzy. Następnego dnia na 20.00, gdy Stalin dogorywał, zwołali łączne posiedzenie KC, Rady Mini- strów i Prezydium Rady Najwyższej. Zgromadzenie pozastatutowe, ale re- prezentatywne. Obrady prowadził Malenkow, referował Beria. Najpierw z najwyższym patosem oddano hołd wodzowi i zadeklarowano wierność je- go naukom, a w chwilę potem uchylno- no najważniejsze stalinowskie decyzje z ostatniego roku. Odwołano czystkę, czego symbolicznym znakiem było przywrócenie do wpływów tych, co popadli w niełaszkę. Zlikwidowano szerokie prezydium KC, wydalono zeń 20 członków, wszystkich nowych mianowańców Stalina, wśród nich Su- słowa i Breżniewa. Powołano nowe 9-osobowe prezydium – z Mołoto- wem, Mikojanem i Woroszyłowem. Podobnie skomprimowano sekretar- iat KC i Radę Ministrów. Malenkow został premierem, Beria skupił pełnię władzy nad sprawami wewnętrznymi i służbami policyjnymi, Mołotow nad polityką zagraniczną, a Chruszczow nad aparatem partyjnym. 6 mar- ca podano to do wiadomości publicz- nej wraz z informacją o zgonie Stalina.

Uroczystym pogrzebem, podczas którego w tłoku zostały zadeptane dziesiątki żałobników, pożegnano epokę Stalina. Otwarto zaś trudny zwłaszcza dla systemów dyktatorskich kryzys sukcesyjny i towarzyszące mu nieuchronnie walki diadochów (suk- cesorów) o władzę. Przeciwną się na 4 lata. Dał niepowtarzalną szansę emancypacji krajom zależnym, najlie- piej wykorzystaną przez Chiny i Pol- skę.

M.Z.

Wykorzystano m.in.:
– Eugeniusz Duraczynski „Stalin twórca i dyk- tator supermocarstwa”, Warszawa 2012;
– Françoise Thom „Beria. Oprawa bez skazy”, Warszawa 2016.

Za komuny ludzie opowiadali tzw. kawały polityczne. Ten zwyczaj umarł. Zastąpiły je memy internetowe. Tymczasem niektóre ze starych kawałów po drobnych tylko przeróbkach jak ulał pasują do dzisiejszych cza- sów.

...

Po przeforsowaniu w Sejmie ustawy metropol- italnej prezydent wielkiej Warszawy Jacek Sasin obwozi samochodem po mieście prezesa Jarosła- wa Kaczyńskiego. Pokazuje mu wysoki budy- nek: – To jest Pałac Kultury i Nauki imienia Le- cha Kaczyńskiego.

Wjeżdżają na dawne Aleje Ujazdowskie: – To są Aleje Lecha Kaczyńskiego, zaraz dojedziemy do ronda Lecha Kaczyńskiego.

Dowcipasy

Samochód wjeżdża na plac przed charaktery- stycznym kościołem i Sasin z przerażeniem stwierdza, że zapomniał zmienić jego nazwę.

– Co to za plac? – pyta Kaczyński.
– To plac Zbawiciela – odpowiada niepewnie Sasin.

– Nie przesadzajmy. Wystarczy, żeby się nazy- wał plac Lecha Kaczyńskiego.

...

Po pracy zmęczony policjant wraca do domu.
– Miałem dziś bardzo ciężki dzień – tłumaczy żonie. – Rozpędzaliśmy demonstrację przeciw

reformie oświaty. Tak przywaliłem jednemu de- monstrantowi pałką po plecach, że aż mu kredki wypadły z tornistra.

...

Jarosław Kaczyński, zdenerwowany, że nie może sobie poradzić z opozycją, dzwoni po radę do Władimira Putina: – Co robić?

– Zamknij wszystkich w więzieniu i pomaluj Kolumnę Zygmunta na niebiesko – pada odpow- iedź.

– Dlaczego mam pomalować Kolumnę Zyg- munta?

– Wiedziałem, że tylko o to zapytasz.

...

Żeby urozmaicić lekcję biologii w zreformo- wanej podstawówce, nauczycielka przyniosła ży- wego królika. Złapała go za uszy, podniosła do góry i pyta dzieciaki, co to jest. W klasie cisza. Nauczycielka zachęca do odpowiedzi: – No, śmiało, przecież doskonale go znacie, dużo o nim słyszeć.

Jasio podnosi rękę: – Niemożliwe... Prezy- dent Kaczyński?

...

Może ktoś zna inne kawały? Wysyłajcie na adres: nie@redakcja.nie.com.pl.

W.M.

Mecz hiszpańskiej Primera Division między Granadą FC i Realem Betis Sewilla zapewne nie interesowałby wielu osób poza kibicami wspomnianych drużyn. Ani nie są to jakieś nadzwyczajne zespoły, ani nie występują w nich światowe gwiazdy. A jednak spotkanie zapisało się w historii piłki nożnej.

Po raz pierwszy zdarzyło się na boiskach najwyższej hiszpańskiej klasy rozgrywkowej, że w jednej drużynie każdy z zawodników legitymował się paszportem innego państwa. W jedenastce Granady FC na boisko wybiegli: Meksykanin, Francuz, Kameruńczyk, Islandczyk, Urugwajczyk, Nigeryjczyk, Brazylijczyk, Marokańczyk, Ghańczyk, Kolumbijczyk i jeden hiszpański rodzynek. Co ciekawe, broniąca się przed spadkiem do niższej ligi Granada wygrała z wyżej notowanym Realem Betis 4:1.

Ani jednego Anglika

O cudzoziemcach występujących w krajowych rozgrywkach najczęściej mówi się przy okazji najsilniejszej ligi świata, angielskiej Premier League – dlatego, że przyjeżdżają tam grać za wielkie pieniądze czołowi futboliści świata. Zdarzało się więc, że w angielskich zespołach, które wybiegały na boisko, nie było ani jednego Anglika, a cudzoziemcem był także trener. W szerokiej 30-osobowej kadrze liderującej w tabeli Chelsea Londyn jest w tej chwili pięciu Anglików, w tym urodzony w Sierra Leone Nathaniel Chalobah, a menedżer drużyny to Włoch Antonio Conte. Podobnie można opisywać inne czołowe kluby. W Manchesterze City w 30-osobowej kadrze także jest miejsce dla pięciu Anglików, przy czym Raheem Sterling urodził się na Jamajce. Trenuje ich Hiszpan, a ściślej Katalończyk Pep Guardiola.

Ponieważ reprezentacja Anglii od dawna nie może odnieść sukcesu w mistrzostwa świata i Europy, coraz częściej słychać głosy domagające się ograniczenia liczby cudzoziemców występujących w klubach. Warto przypomnieć, że w angielskim futbolu cudzoziemcami są też Szkoci, Walijczycy, Irlandczycy z Północy, nawet mieszkańcy Gibraltaru, bo te podmioty administracyjne – choć wchodzą w skład Zjednoczonego Królestwa – wystawiają własne piłkarskie reprezentacje. Póki nie nastąpił brexit, niełatwo wprowadzić ograniczenia.

W ramach wspólnoty europejskiej obowiązuje swobodny przepływ siły roboczej i jej obywatele mają jednakowe warunki zatrudnienia we wszystkich krajach, z czego zresztą korzysta wielu Polaków, nie tylko tych, którzy kopią piłkę. Sytuacja zmieni się, gdy brexit stanie się faktem.

Najprawdopodobniej europejscy zawodnicy będą musieli starać się o zezwolenia na pracę, podobnie zresztą jak Brytyjczycy bez stosownego papierka nie zagrają w Europie kontynentalnej.

Czy angielska piłka na tym zyska?

Zawodników obcowanie

Stefan Szymański jest wykładowcą zarządzania w sporcie na Uniwersytecie Michigan, a Simon Kuper jednym z najbardziej znanych angielskich dziennikarzy sportowych. Wspólnie napisali książkę „Futbonomia”, która niedawno ukazała się na polskim rynku. Poddali analizie statystycznej wiele zjawisk zachodzących w futbolu, a to doprowadziło ich do zaskakujących



Gdy zniknęły na granicach bariery handlowe i trzeba się było mierzyć z konkurencją, samochód z Japonii stał się gwarancją dobrej jakości. Nawiasem mówiąc, globalizacja sprawiła, że coraz trudniej mówić o „narodowości” samochodu; nikt, kto jeździ japońskim nissanem, nie wie, ile jest w nim z francuskiego renault.

Prezes PZPN Zbigniew Boniek często deklaruje przywiązanie do polskości naszej piłki, choć sam jest światowcem, grał w Juventusie i AS Roma, a teraz mieszka we Włoszech. Sprzeciwia się występom w reprezentacji cudzoziemców z polskim paszportem, co po dziwacznych eksperymentach trenera Franciszka Smudy można zresztą zrozumieć. Trudno natomiast pojąć utrudnienia, jakie PZPN robi cudzoziemcom występującym w ekstraklasie. Im i tak nie jest łatwo, muszą w nowym kraju uczyć się obcej dla nich kultury, porozumiewania w języku składającym się z niemożliwych do wymówienia spółgłosek, poznać charakterystyczny dla każdej ligi styl gry i sędziowania.

Płynie liga, płynie

Oczywiście prezes Boniek nie przeskoczy unijnych przepisów. Prawo gry w Polsce mają nie tylko obywatele Unii Europejskiej, ale także na mocy stosownych międzynarodowych umów obywatele państw EFTA (Szwajcaria, Lichtenstein, Norwegia, Islandia). Zawodnicy posługujący się innymi paszportami mają jednak w polskiej ekstraklasie limit. Choć w klubowej kadrze może być ich wielu, na boisku jednocześnie występować może tylko dwóch.

Po co w ogóle wprowadzono ten limit? Autorzy „Futbonomii” udowodnili, że wcale nie poprawia to gry reprezentacji narodowej. W dodatku przepisy łatwo ominąć. Wielu piłkarzy ma 2 paszporty. Wystarczy jeden unijny, żeby znaleźć się poza ograniczeniami wprowadzonymi przez centralę piłkarską. W Wiśle Płock gra np. reprezentant Gwinei José Kanté Martínez. Martínez urodził się w Hiszpanii i ma także hiszpański paszport. Żadne limity wprowadzone przez PZPN go nie obowiązują.

Gdyby ekstraklasa stała na wysokim poziomie, płace w niej dorównywały potężnym ligom, a piłkarze z całego świata pchali się do niej drzwiami i oknami, powstałby dodatkowo problem z zawodnikami z Rosji i z Turcji, którzy mogą wykazać – i robili to już skutecznie w sądach – że umowy międzynarodowe zabraniają dyskryminowania ich w pracy, a przepis wprowadzony przez PZPN można właśnie uznać za dyskryminację.

Mieszejmy się

Hasło „Dobre, bo polskie” brzmi ładnie i patriotycznie, ale sens ma tylko wówczas, gdy mowa o tradycyjnych produktach. Futbol na pewno nie jest tradycyjnym polskim produktem. Samymi wychowankami naszych klubów poziomu ekstraklasy się nie podniesie. A jaki jest – wiadomo. Nie trzeba nawet patrzeć na wyniki klubów na międzynarodowej arenie. Wystarczy drobny przykład. Gdy jesienią trafił do Legii belgijski piłkarz ghańskiego pochodzenia Vadis Odjidja-Ofoe, przez jakiś czas nie trenował, miał nadwagę, a mimo to dobrze sobie radził na boisku. Gdy potrenował i zrzucił trochę zbędnych kilogramów, okazało się, że umiejętnościami przerasta naszą ligę. Fakt, że w zimowym okienku transferowym nie opuścił Warszawy, uznano za sympatyczny gest wobec Legii, w której doszedł do wysokiej formy. Latem na pewno przeniesie się do lepszej ligi.

Odjidja-Ofoe ma unijny paszport. Inny zawodnik Legii, Brazylijczyk Guilherme, chciałby go mieć i wystąpił o polskie obywatelstwo. Od razu podniósł się głos, że podjadany przez działaczy spryciarz chce ominąć w ten sposób przepisy ograniczające liczbę graczy spoza UE, którzy mogą jednocześnie występować na boisku. A przecież nikt nie broni spojrzeć na wszystko inaczej. Niech PZPN zmieni przepisy, Guilherme będzie grać jak najwięcej, a młodzi polscy piłkarze mogą się przy nim sporo nauczyć. I konkurować z nim, jak się już nauczą.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
w.mittelstaedt@op.pl

Miedzy nogami a brzegiem pucharu

Ściąganie do polskiej ligi cudzoziemskich zawodników pomaga lepiej grać kadrze narodowej.

wniosek. Jednym z nich jest stwierdzenie, że duża liczba cudzoziemców w rozgrywkach ligowych nie tylko nie wpływa negatywnie na rezultaty reprezentacji, ale – przeciwnie – im jest ich więcej, tym lepiej gra drużyna narodowa. Jeśli się nad tym chwilę zastanowić, a nie ulegać chwytliwym hasłom, ten wniosek staje się logiczny. I znajduje potwierdzenie nie tylko w sporcie.

„Gdyby angielskim zawodnikom” – piszą autorzy – „zapewniono wszystkie miejsca w drużynach z Premier League, nie mieliby motywacji do poprawiania swoich umiejętności”. Mimo że rodowici Anglicy grają w Premier League podczas wszystkich meczów tylko przez ok. 30 proc. czasu, jest ich i tak wystarczająco wielu, aby dało się z nich skompletować kadrę narodową składającą się z graczy obytych z futbolem na najwyższym poziomie i znających sposoby gry najlepszych zawodników na świecie.

Szymański i Kuper porównali liczbę cudzoziemców występujących w angielskiej lidze (także sprzed epoki Premier League i swobodnego

przepływu siły roboczej) z wynikami reprezentacji i otrzymali wiarygodne potwierdzenie tej tezy. Wyjątek stanowił rok 1966, ale wówczas Anglia była organizatorem imprezy i zdobyła mistrzostwo świata, grając na stadionie Wembley w Londynie. O tym, że nie zdobywali więcej mistrzowskich tytułów, decydują inne fakty niż nadmiar cudzoziemców w lidze.

Hamowanie transferów

Wiele krajów, zwłaszcza rozwijających się, różnymi sposobami stara się zahamować import zagranicznych produktów i zazwyczaj marnie na tym wychodzi, bo zdrowa konkurencja jest motorem rozwoju we wszystkich dziedzinach. Chroniąc rodzimych producentów, najczęściej chroni się słabe firmy. Po wojnie Japończycy postawili na rozwój motoryzacji i nie dopuszczali na swój rynek zagranicznych aut. Mało kto o tym pamięta, ale efektem były „jednorazówki”, jak nazywano japońskie samochody, nie tylko brzydkie, ale przede wszystkim bardzo zawodne.



SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY REDAGUJĄ:
Jerzy Urban – redaktor naczelny,
Przemysław Cwikliński, Waldemar Kuchanny, Andrzej Rozenek (zastępcy red. nacz.),
Mateusz Cieślak, Małgorzata Daniszewska, Bożena Dunat, Tadeusz Jasiński, Marta Miecinińska, Maciej Mikołajczyk, Andrzej Sikorski, Agnieszka Wołk-Laniewska,
Krzysztof Olejnik, Włodek Kierus (grafika, DTP).

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-789 Warszawa, ul. Słoneczna 25,
tel.: 22 848-84-48, 22 848-44-20, 22 848-96-68;
tel./fax 22 849-72-47 i 22 849-72-58.

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849-59-38.

INTERNET
http://www.nie.com.pl – także prenumerata internetowa.
E-MAIL NIE@redakcja.nie.com.pl

Współpraca: „Daniszewska i córka s.c.”

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji. Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK: Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Poczta Polska – prenumerata krajowa:
Infolinia 0-801-333-444, dla tel. komórkowych 438420600
www.prenumerata.poczta-polska.pl

„Ruch” S.A. – prenumerata krajowa:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl. Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7⁰⁰– 17⁰⁰. (koszt połączenia wg taryfy operatora).

prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę:
Informację o warunkach prenumeraty i sposobie zamawiania można uzyskać pod nr tel. +48 (22) 693 67 75
www.ruch.com.pl
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl

Telefoniczne Biuro Obsługi Klienta
(koszt połączenia wg taryfy operatora):
• połączenie z telefonów stacjonarnych 801 800 803
• połączenie z telefonów komórkowych +48 (22) 693 70 00

Dystrybutor: Kanada – Vartex Distributing Inc.,
3135 Universal Dr. Unit # 3 Mississauga, Ont.,
L4X 2E6 Canada. Tel. (905) 624-4726.0

Prenumerata elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl
1 numer – 3 PLN, 5 wydań – 15 PLN, 13 wydań – 39 PLN, 26 wydań – 78 PLN, 52 wydania – 156 PLN

Numer zamknięto: str. 1-16 – 1.03.2017 r.



by blagier Urban

Jacek Saryusz-Wolski siedział przy komputerze i wrzucał na Twittera jakieś gówna: a to, że na śniadanie zjadł płatki kukurydzyane w mleku sojowym, a to, że dziś nie założy kalesonów, bo do Brukseli zawitało przedwiośnie, a to, że przeczytał najnowszy artykuł Naomi Klein i jest rozczarowany jego płytkością.



Na biologicznym twardym dysku Saryusz odtwarzał wspomnienia: on i Rokita marzą o wielkiej koalicji PiS-u z Platformą; Janek staje na czele rządu, a on zostaje ministrem spraw zagranicznych. Dwaj bystrzy, głodni sukcesu ludzie podbijają zgnusiałą Europę. Czarują kanclerz Niemiec, prezydenta Francji i premiera Wielkiej Brytanii. Wprowadzają Polskę do Unii pierwszej prędkości. Przyjmują euro. Budują elektrownie atomowe, sześciopasmowe autostrady i zagłębia najnowszej technologii. I przechodzą do historii (do Historii – powiększył pierwszą literę) jako twórcy programu Rokity-Saryusza „Polska spełnionych marzeń”.

Wówczas na drodze stanął mu Tusk. Pewny siebie, zarozumiały, wszystko wiedzący najlepiej.

– Z Jakiem nie będę tego rozgrywał – powiedział, nie wymawiając „r”. – Niech on hobi swoje, a ja będę hobił swoje. Osobno, a nie razem.

A przecież nawet nie umiał wtedy mówić po angielsku...

Saryusz wpisał na Twitterze, że zanosi się na piękny dzień. Jego mózg pracował na pełnych obrotach, przywołując kolejne wspomnienia: Tusk obiecuje mu tekę ministra spraw zagranicznych.

– Jesteś dohby – podlizuje się. – Lepszy od Hadka Sikohskiego... Musisz tylko okazać choć trochę ciepłoty.

Dziś ta ciepłoty właśnie się skończyła. Saryusz sra (sha – ha, ha, ha...) na Tuska. Tak mu zrobi koło dupy, że szlag go trafi!

Kolejne wspomnienie, całkiem niedawne: wysłannicy Kaczyńskiego proponują mu deal. Dużo dymu, mało ognia, chodzi tylko o to, żeby w jak największym stopniu upokorzyć Tuska.

– Upokarzanie to moje drugie imię – mówi Saryusz, przybijając piątkę z Czarneckim.

Siedzi teraz przy komputerze i wprowadza plan w życie. Nie reaguje na apele tego pajaca Schetyny. Nie odbiera telefonu. Wypisuje na Twitterze banialuki. Smakuje słodcy zemsty.

Dopnie swego. Pokaże im wszystkim. Zostanie ministrem. Najlepszym, jakiego nosiła polska ziemia. W glorii wejdzie na europejskie salony, gdzie od dawna czuje się jak w domu.

Zadrżała komórka. Na ekranie pojawił się numer telefonu najważniejszego człowieka w Polsce.

– Halo – powiedział Saryusz starannie wystudiowanym tonem. – Dzień dobry, panie prezie.

– Dohby? – usłyszał znienawidzony głos. – Dla ciebie niedohy. Naphawde, kuhwa, myślałeś, że wam się to uda? Myślałeś, że Euhopa pozwoli na ten wasz cyhk? Jesteś niepophawnym skuhwysynem, Sahyusz. Pobite gahy!

PRZEMYSŁAW CÍWIKLIŃSKI
pcwikla@redakcja.nie.com.pl

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Świętego Radosława

Jakby nie było większych zmartwień, długo i zawzięcie krytykowano karawany ochrony wożące dygnitarzy PiS oraz loty Szydło desantującej się we własnym łóżku. W rezultacie premierzyca, jadąc do prokuratury, miała już na ogonie o jedno auto BOR więcej niż dotychczas. A przecież naród kocha Dudę, Szydło, Macierewicza, co prawda mniej, ale dostatecznie. Natomiast naród, jak teraz słyszemy, nienawidził sprawców stanu wojennego, w szczególności generałów Jaruzelskiego i Kiszczaka. Za Jaruzelskim jeździł jeden samochód ochrony i nie używał dyskoteki. Czesław Kiszczak po stanie wojennym jeździł bez żadnej ochrony, francuskim, czyli marnym autkiem, które sam prowadził. Często widać było przez szyby dystynkcje generała broni. I nigdy nic się nie stało.

Świętego Olgierda

Przez lata miałem ochronę BOR, ale ochraniała mnie tylko dwa razy. Raz, gdy na prośbę mojego pomocnika przyjałem wielbiącą mnie jego szkolną koleżankę. Asystent nie wiedział, że zwariowała. W gabinecie rzecznika padła przede mną na kolana, w żelaznym uścisku trzymając moje nogi. Zacząłem chwiać się i wrzeszczeć. Uratował mnie goryl z BOR, który w sekretariacie wysiadywał swoją nudę. Drugi raz gdzieś w podróży jadłem na antresoli przydrożnej knajpy. Ktoś od stolików na dole rzucił na podłogę antresoli gotowany kartofel i borowiec tego kogoś zbeszał. Natomiast gdy mój kierowca przejechał na pasach dziewczynkę i zbiegł się gniewnie przechodnie, drugi borowiec kazał mi samotnie pieszo się oddalić i ochraniał kolegę.

Świętego Michała

BOR przechrzcza na Narodową Służbę Ochrony, chociaż nie naród w niej służy, tylko wprost przeciwnie – fachowcy. I nie naród chroni BOR, tylko dygnitarzy. Coś podobnego można jednak powiedzieć

o Filharmonii Narodowej. Nie naród gra i nie naród słucha.

Świętej Eulalii

Macierewicz rad by wypowiedzieć wojnę jednocześnie Rosji i Niemcom, żeby zbrojnie odebrać wraki samolotu i ciężarówki. Wojsko polskie podległe ministrowi staje się niebezpieczne dla kraju i państw sąsiednich.

Świętego Modesta

Danuta Szaflarska cieszyła się ogromną liczbą nekrologów. Pod nekrologiem gazownictwa umieściła nekrolog prezesa Rady Ministrów B. Szydło. Pisz w nim, że ją zasmuciła śmierć „gwiazdy polskiego filmu”. Kurwa, jaki on był polski?! Chodzi przecież o kinematografię terytorium okupowanego przez ZSRR.

Świętego Grzegorza

Kapuściński, szef klubów „Gazety Polskiej”, domaga się, żeby ustawa „dezubekizacyjna” objęła także funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej w PRL, czyli nawet krawężników dających mandaty za psie kupy. Twierdzi, że MO, czyli dawna policja mundurowa, to organizacja przestępcza. Głównym argumentem jest to, że na komisariacie milicji tak pobito Grzegorza Przemyka, że od tego umarł. Trzeba by wobec tego rozwiać wszystkie policje Polski i świata. Bo jakież się to nigdy nie zdarzyło?

Świętej Katarzyny

Pudel Azor to pies szczególnej troski. Ma niedobór śluzu w odbycie, z trudem więc robi kupę. Z pomocą spieszy mu jego najbliższa suczka Fela, kupiona jako szczenię yorka. Liże go tam, gdzie politycy PiS liżą Kaczyńskiego. U Daniszewskiej, gdzie jestem rezydentem, menedżer domu pracuje na jedną zmianę, a jego zastępczyni Fela na dwie. Personel domowy mieszka na piętrze przybudówki połączonej korytarzem z apartamentami Daniszewskiej. Ma tam trzypokojowe mieszkanie oddzielone drzwiami na początku i na końcu korytarza oraz trzecimi do ich

sympialni i salonu. Jeżeli Daniszewska czegoś potrzebuje, musi telefonować pod numer wewnętrzny 100, na co jest zbyt leniwa. Wyręcza ją Fela, która wyczuwa potrzebę swojej pani, donośnie więc wtedy szczeka u drzwi korytarza tak, że słyszą ją opiekunki Daniszewskiej. Suczka biegnie też pod drzwi kuchni, wydzierając się, że czas podawać, bo żona siedzi już przy stole, albo że chce herbaty lub papierosów, albo że nie ma przypraw przy talerzu. Oraz że Daniszewska musi się przygotować, bo przez ogród kroczy manicure, masażystka, fryzjerka lub mistrz jogi. W zamian żona odchudza Felę. Przypuszczam, że suczka popelni z głodu samobójstwo.

Świętego Walentego

Bardzo mi się podoba stanowisko Episkopatu Polski wobec „Kłątwy” w warszawskim Teatrze Powszechnym. Biskupi zalecają: modlić się. Teraz nawet ortodoksyjni katolicy kupią bilety, żeby zobaczyć, przeciw czemu mają się modlić.

Świętego Cyryla

Jeżeli Daniszewska mówi, że mnie kocha, to znak, że jest już w dupę pijana.

Świętego Metodego

Faceci nadający coś w internecie zgłosili się do mnie, żebym sfinansował, bagatelą, serial telewizyjny. Jak będą mieli pieniądze, to go wymyślą, bo bez kasy nie warto główkować.

Świętej Jowity

Śniły mi się śliczne nagie kurwy. I co one robiły? Modliły się za mnie. W tym samym śnie spałem w jednym łóżku z ubranym i obutym Donaldem Trumpem. Ten fragment snu też nie był erotyczny, ale polityczny.

Świętej Faustyny

Była u nas psia fryzjerka. Azor bardzo płakał po utracie sierści. Widocznie nadchodzi mrozy.

sekr@redakcja.nie.com.pl

KŁATWA 1

R. Dąbrowski

